

# ODDRA

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 11 sierpnia 1946 r.

Nr. 26 (37)

Maria Jarochowska

# RZECZ JASNA

(Śląsk po 10 miesiącach)

Podłoga przedziału była aż śliska od pestek czereśni, tego sezonowego przysmaku, o którym melodyjnie na wszystkie tony wyśpiewują muzykalni przekupnie mijanych stacji. W kącie drzemał stary, wąsaty kolejarz z poźółką twarzą świadcząca o pracowicie doczekanych latach emerytury. Pod oknem na ławce leżała wypróżniona butelka monopolówki z czerwoną kartką i niedojedzone jajko ze śladem brudnych palców na śnieżnej powierzchni świętego białka. Na półkach piętrzyły się piargi pakunków.

Dwóch przedsiębiorczych młodych ludzi wszedłszy od razu zrobiło porządek. Jajko na podłogę między pestki — butelka — hop — na półkę! Rozsiedli się na przeciwko siebie.

— No to jedziemy. Wrocław, pa!

Jeden miał usta wąskie jak sznureczek i bardzo ruchliwe żrenice, drugi nosił garnitur o zastanawiająco dziwnym kolorze. Rudawy przechodzący w liliowawy odcień, rodzaj jakiego nie widuje się w Polsce.

Pociąg powinien był już ruszyć, gdy nadciągnął jeszcze jeden pasażer, który widać już przedtem zajął sobie miejsce. Miał spoconą twarz, trzy grube, złote pierścionki na palcach i od razu się obraził.

— Gdzie moja butelka! —

Po szczęśliwym odnalezieniu zaginionej przelał do niej zrecznie piwo z przyniesionej butli.

— Cóż po wódce, piwo może być — pociąg się rozpogodzony.

Gdzie państwo jadą? — padło pierwsze sakramentalne pytanie znużonych podróżnych, którzy pragnąc zabić rozwleczony czas jazdy opowiadają nieodmiennie osobom nieznanym najintymniejsze szczegóły swego nieciekawego żywota, powierzając ludziom widzianym po raz pierwszy i ostatni tajemnice zazdrośnie chronione przed bliskimi.

Wszyscy jechali do Kłodzka. Obudzony wstrząsem ruszającego pociągu kolejarz — do córki. Młodzieniec w dziwnym ubraniu — aby szukać miejsca osiedlenia. Młodzieniec z ruchliwymi oczami — bo mu mówiono, że tam jest jeszcze dużo Niemców, a właściciel butelki prowadził w Kłodzku, interes“.

— Dostę się w życiu napracowałem — poskarżył się na wstępie — teraz handluję. I zaraz się okazało, że to człowiek już od roku tutejszy, obyty. Niepytany gorliwie zasypał obecnych bardzo pesymistycznymi informacjami. Że Wrocław miał przed wojną półtora miliona mieszkańców — większy panie od Warszawy, a teraz ani za tysiąc lat z gruzów się nie podniesie. Że na osiedleńców miejsca już nie ma — wszystkie pociągi repatriantów odsyła się z powrotem. (Liliowo ubrany zawiercił się niespokojnie). Że Niemcy wszyscy już wysiedleni (wąskousty przeszył go rozdzierającym spojrzeniem). A Sowietci mają taki specjalny przyrząd, że wagonom wyprodukowanym we wrocławskiej fabryce w 10 minut rozciągną csie i szeroko torową koleją wio do Moskwy. Tutaj ocknął się ponownie sędziwy kolejarz.

— Co, w 10 minut, niemożliwe — zaprotestował nieśmiało z płaczliwym akcentem ludzi obudzonych w środku nocy.

— No to może 15 — ustąpił spocony i skłął mnie, bo wtrąciłam, że Wrocław miał 600 tysięcy mieszkańców i że był mniejszy od milionowej Warszawy. Po czym każdy z pasażerów zaznajomił obecnych ze swym celem życiowym, ku które-

mu zdązał mozolnie tym roztrzęsionym pociągiem na linii Wrocław — Międzylesie.

Ruchliwy młody człowiek porzucił posadę w jednym z urzędów w Cieplicach. Świętą — jak sam zapewniał, 3500 złotych miesięcznie, plus przydziały, kompletne utrzymanie i mieszkanie w hotelu.

— Ale wojna mnie zniszczyła (pochodził z Krakowa), człowiek musi się urządzić — zwierzył się. Umyślił więc sobie, aby wyszukać jakąś zamożną niemiecką rodzinę z zasobnym mieszkaniem.

— Aby ani jednej poduszki nie musiał na Śląsk przywozić. Bo jeden kolega dobrze sobie poradził. Udał elektromentera, wpuścili go Niemcy do mieszkania, to potem z tego mieszkania 180 kilo srebra sprzedał i 92 prześcieradła. Tyle tego mieli — rozwiódł się z podziwem. I tak oto wieść o powodzeniu kolegi zburzyła spokój wewnętrzny urzędnika w Cieplicach i rzuciła go w świat w poszukiwaniu własnej szansy życiowej. Odtąd pchany przemożnym marzeniem o bogatym niemieckim mieszkaniu wędruje po miejscowościach Dolnego Śląska w pogoni za ziszczeniem swego pragnienia.

Kupiec z żarliwą konsekwencją począł go zniechęcać.

— Panie, ta tu Niemców prawie nie ma, bogaci wyjechali, a została sama bieda. W ogóle tu jest źle. O pracę trudno, drożyzna jak jasny pieron. Ludzie przez Czechy uciekają do angielskiej strefy. Tak najlepiej. Za Kudową jest jedne takie miejsce, gdzie całe chmary idą.

— Toż ja temu dwa miesiące stamtąd wróciłem — wzburzył się właściciel egzotycznego garnituru. Wojna się skończyła, ale Anglicy nas w obozie trzymali i niemiecka straż pilnowała. Tam Polaków nie lubię. Jedni Francuzi nas ubóstwiają — bylebyśmy tylko do ich kopalń poszli. Teraz jadę na Zachód. Może się tam jakoś ulokuje.

— Panie, ta tu już ludzi aż za dużo. Pracy pan nie znajdzie. A czym pan jeste?

— Malarz pokojowy. —

— Co pan tu będziesz robił? Wracaj pan skądś pan przyjechał — radził żałośnie litościwy handlarz.

— No a nie dałoby się poprowadzić sklepu? — pytał stropiony repatriant.

— Skąd sklep — wszystko zajęte. Najwyżej mógłby pan rowery naprawiać. Sutyrynę jakąś nając i malutki warsztacik otworzyć. Niczego lepszego się pan nie spodziewaj po naszych demokratycznych czasach. Sami sobą nie rządymy. Moskwa rozstrzyga, a chce ludzi zbiednić, żeby łatwiej komunizm wprowadzić — dodał dudniącym szeptem.

Młodzi ludzie słuchali go ufnie, przytakując potulnie, martwiąc się i zadając nowe pytania. Zakazaną kiełbasę z beźmięsnego dnia zapijał dobrowolny informator ciepłym piwem i biadał od kęsa do kęsa. Z paczki na półce kapnęła mu na prześlizną jedwabną koszulę czerwona kropla niewiadomej cieczy. Zlizzał ją starannie i wydobywszy ze skórzanego neseseru ze srebrnymi okuciami oszalałmiącą wodę lawendową i skropił się nią obficie, a z ucha wydłubał sobie kłak waty, bo było rzeczywiście niezmiernie gorąco. Ściany przedziału niby szklane tafle oranżerii więziły między sobą upa-

Na jakiejś stacji elegancki handlowiec zamienił z kimś półgłosem na korytarzu parę słów i niespodziewanie zdecydował się wysiąść.

— Prędko, prędko — pakunki przez okno!

Bo okazało się, że wszystkie jedenaście tłumoków należało do naszego pesymisty. Jedne były ciężkie, jednolite, brylowate, niczym dzwony z wieży kościelnej, w innych telepały się z brzękiem jakieś luźne części. Tajemnicze ciasno zwinięte rulony spowijały szczelnie mocno zeszyte płótno, ze skrzynek wyglądały niedyskretnie wiory, którymi chroni się porcelanę przed stłuczeniem, a nieodgadniony, najeżony wieloma szpikulcami sprzęt, owinięty w mnóstwo zmiętych gazet musiał być chyba niezbyt gustownym żyrandolem. Jego właściciel, który znikł był już rąco, zjawiał się raz jeszcze, by zabrać zapomnianą butelkę.

A młodzieńców zaprzyjaźnił wspólny śmiech na opustoszałej ławce.

— Ale morowy. Myślał, że na frajerów trafił. Że nas odstraszy. Boi się konkurencji. To dopiero! A tu przez okno taki ładny widok, napewno i praca się znajduje — cieszył się malarz przepełniony niechęcią i optymizmem.

— Niemców też jest chyba jeszcze trochę — rozmarzył się były urzędnik zaciśniętą z wyrazem ekstazy wąskie usta.

Był to zwykły sobie epizod, przygoda, jakich z pewnością setki wiozą wagony śląskich pociągów. Gruby pan, ów klasyczny typ szabrownika o sylwetce tak bardzo autentycznej, choć jakby żywcem nożyczkami wyciętej z propagandowego afisza pod tytułem „nie masz szkodnika nad szabrownika“ — to ciągle jeszcze hałaśliwy bohater wielu nieprawdopodobnych wyczynów łupieżstwa, grabieży i spekulacji. A jednak dla kogoś, kto po 10 miesiącach nieobecności przybył znowu na Dolny Śląsk, spotkanie to będzie jeszcze jednym przekonywującym potwierdzeniem uderzających zmian, które obliczu tutejszej krainy nadały nowy, przejmujący wyraz.

10 miesięcy temu problem komunikacji był tutaj kwestią stalowej siły woli, sprytu i przede wszystkim szczęścia umocnionego cierpliwością. Aby dostać się z

## Perspektywa Odry

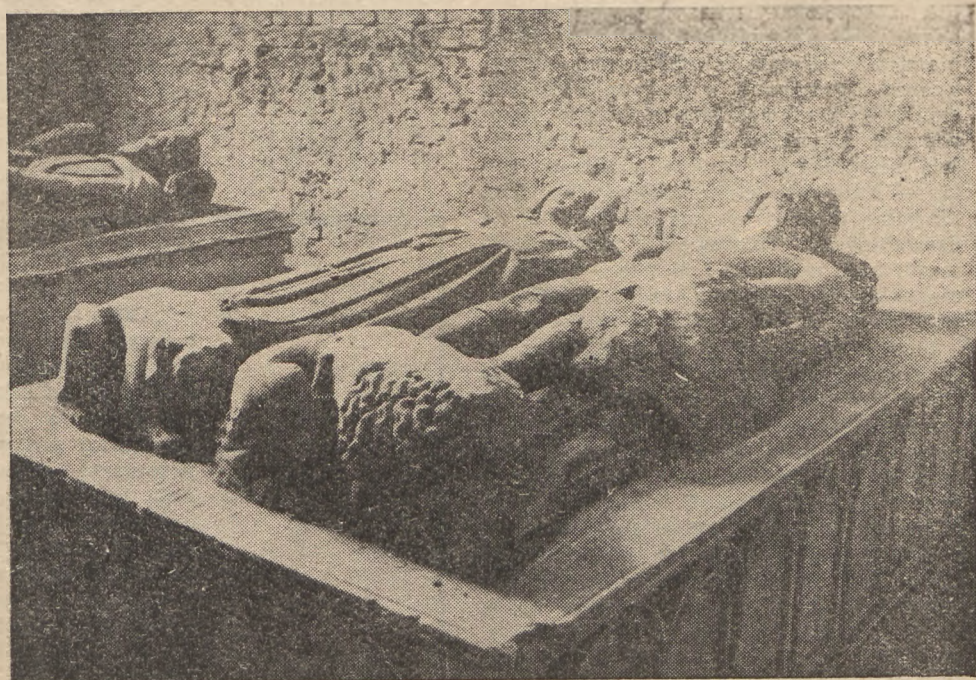
Znamienne było nie dawno opublikowane w prasie rozporządzenie starosty katowickiego o tym, że należy usunąć już jako nieaktualne hasła i napisy referendowe na domach, murach, płotach i t. p., oraz nawołujące do utrzymywania porządku przed domostwami i w podwórzach. Jak daleko zaszliśmy w obojętności na nieporządek, skoro trzeba wydać rozporządzenia urzędowe w tych sprawach, w których wrodzony instynkt cywilizowanego człowieka winien reagować samorzutnie!

Sytuacja pod względem czystości na Ziemiach Odzyskanych jest zła. Nie trzeba jej analizować. Charakteryzują ją pełne odpadków i śmieci tory kolejowe, skwery, place, podwórza, cuchnące ustępy publiczne i t. p. Czas wyjść z tą sprawą na forum jako sprawą państwową.

Nie tylko z powodu tego, że stan ten przeczy podstawowym założeniom jakiegokolwiek kultury, że w zestawieniu z tym stanem mowa o budowaniu Polski Zachodniej, to znaczy zachodniej także w sensie cywilizacyjnym jest prostym bluffem, że to szkodzi zdrowiu społeczeństwa, powodując tysiące wypadków chorób zakaźnych (ile to kosztuje!), że powoduje groźną plagę szczurów, która nawiedziła już w katastrofalnym wymiarze takie miasta jak Wrocław i Szczecin. Ale także jest to sprawa naszego prestiżu za granicą. Obserwatorzy zagraniczni, których tylu kręci się po naszych ziemiach, szczególnie po Ziemiach Odzyskanych, urabiają nam odpowiednią opinię. Wszystko bowiem można zrozumieć: ruiny, źle pracujących ludzi i t. p., ale tego powszechnego niechlujstwa nikt nam nie policzy na karb wojny.

Apelujemy do Ministerstwa Administracji Publicznej i Ministerstwa Ziemi Odzyskanych, ażeby uczynić odpowiedzialnymi osobiście starostów i burmistrzów miast, zawiadowców stacji i t. d., za schludność i czystość powierzchni ich pieczy terenu. W tym też celu winna być stworzona specjalna komisja do walki z niechlujstwem i nieporządkiem, analogicznie do komisji do walki z nadużyciami.

W kraju musi zapanować ład i czystość, które są podstawą piękna a znakiem kultury. Zby.



Grobowce w kościele O.O. Franciszkanów w Opolu. Foto Adam Bogusz, Katowice.



Wrocławia do o 100 kilometrów oddalonego Kłodzka, trzeba było z bijącym sersem czatować na t. zw. „autową okazję” — żebrać, obiecywać i na rozstajnych drogach koło autostrady kwiecistą wymową przekonywać nieczułych soferów.

Dziś dzięki odbudowie transportu śląskie uzdrojowiska przestały być nierealną Atlantydą. Żmudnie wloką się staroświeckie pociągi, a z przepelnionych wagonów zwieszają się niby winogrona całe pęki ludzkich postaci. Rozkłady jazdy ułożone są tak przemysłnie, by podróżny jak najdłużej mógł napawać oczy śląskim krajobrazem, bo pociągi miast dla wygody pasażerów spotykać się na węzłowych stacjach, mijają się z wdziękiem uroczych, wiecznie niepunktualnych przyjeźdźców. I choć niczego dowiedzieć się nie można od zafrasowanych informaterek na porządnie urządzonych dworcach — w końcu dojedzie się koleją do każdego śląskiego miasteczka.

10 miesięcy temu z Dolnego Śląska na Górny można było jechać tylko 2 razy w tygodniu poniemieckim samochodem jakiegoś zakładu pogrzebowego. Piętrzyli się bagaże w miejscu przeznaczonym na trumnę, ludzie tłoczyli się niewygodnie na wąskich ławkach, które służyły niedawno paru żałobnikom zdążającym wśród szlachu na cmentarz, a matowe szyby wytrawione w żaloso-okolicznościowy ornament płaczących brzoź nie wiele światła przepuszczaly do wnętrza wozu.

Dziś na tej samej trasie kursują kilka razy dziennie wygodne autobusy PKS, o numerowanych, wyścielanych fotelach, pewne, prędkie i punktualne.

10 miesięcy temu pod skośnie padającymi strugami jesiennego deszczu gniły ponuro na zaminowanych polach wysypiane kłosa niezebranej pszenicy, trawa pożółkła na łąkach nie doczekawszy się przeobrażenia w siano i z niezliczonych morgów borych kartoflisk tylko gdzieniegdzie osadnicy wydłubywali ziemniaki.

Dziś srebrne żyto układa się z szelestem w miękkie fale posłuszne podmuchom wiatru i kołysze się spokojnie rudziejąca ku żniwom pszenica. Nie są jeszcze rzadkością najeżone chwastami ugory, ale większość ziemi jest uprawiona. Tam gdzie nie było jeszcze dostatecznej ilości osadników — Wojsko Polskie zorało tłustą ziemię traktorami o ryczącących motorach i z żołnierskim rozmachem obsiało pola.

— Bez wojska trudno by było — mówią ze wzruszeniem lustratorzy rolni i pochłonięci pracą nawet ledwo się spotręgli, jak ich gniołca troska o wysianie buraków cukrowych przemieniła się w o ile radośniejszy kłopot starania się o ich urodę przw zbiorach.

10 miesięcy temu mówiono, że Wrocław gorzej od Warszawy... i że nigdy... a przed pierwszym uruchomionym tramwajem ludzie stawali rozdziawieni z osłupienia, jak przed mniemanym trupem przyjaciela powstałego z letargu.

Dziś na każdym prawie przystanku rozdzwoniętego tramwaju konduktor pieje triumfalnie o możliwościach przesiadki i przy większości ulic widać ogromne postępy odbudowy. Wprawdzie istnieją firmy budowlane, które przyjmują tylko i wyłącznie zamówienia na rozbiórkę ruin, ssają krezusowe miliony z wykopalisk zaspanych gruzami poniemieckich skarbow — ale muszą działać i przedsiębiorstwa poświęcone odbudowie, bo tysiączne wyszarpane w murach pociskami dziury, do niedawna jeszcze czarne i przewiewne, wypełniły się szczerline różowociałą niespiłukaną jeszcze deszczami cegły — niby rany ciała ludzkiego ziarniną. Mnóstwo domów opasują ciasne ramiona drewnianych rusztowań popstrzonych murarskim wapnem i skrzeczają piskliwie nienaoliwione zawiasy tacek, którymi wywozi się zmiażdżony gruz.

10 miesięcy temu co drugi człowiek na Śląsku odpowiadał pokornie na polskie słowo: „nie rozumiem” i poprawiał na ramieniu białą opaskę. Nienawykłe do niemieckiego usta pierwszych osadników musiały nauczyć się niewprawnie wymawiać „Wuenschlburg”, „Frankenstein”, „Hirschberg” albo „Scharfeneck”.

Dziś nowo przybyli nie znają innych nazw jak Gródek, Ząbkowice, Jelenia Góra czy Sarny. Polskim gwarem huczą ulice, polskim handlem place i sklepy, polskimi kłótniami dworce i pociągi, śmiechem polskich dzieci podwórka kamienic. Z wypiekami na twarzy, ale we wzorowym porządku dzwigają Niemcy ku

wagonom ostatnim, odchodzącym na Zachód transportów, niezliczone, pedantycznie zaszyte równymi ściegami w perkal, pakunki, emaliowane naczynia i fibrowe walizki. Przy lakierowanych na biało wózkach dzieciennych dyndają przywiązane tasemkami nocniczki, których widać także nie zamierzają stracić.

10 miesięcy temu w takim na przykład Kłodzku każda skwapliwie otwarta książka zawierała w sobie tylko równe rzadki zniechęconych liter szpiczastego gotyku, a polska gazeta biegła z rąk jednej rodziny do drugiej niemniej ceniona niż unikatki zakazanej prasy pod niemiecką okupacją.

Dziś w tym samym Kłodzku sprzedawcy wymachują kolorowymi nagłówkami dzienników na rogach wszystkich ulic, a w obszernej księgarni braci Cieśliewiczów można otrzymać nawet takie gazety, o których nie wiedziało się, że istnieją. Różnie wypożyczalnia, a z nowo wydanych książek najlepiej, jak wszędzie na świecie, „idzie” beletrystyka.

— Samego Meissnera coś 50 egzemplarzy poszło, czy to nie jest dobrze jak na Kłodzko? — opowiada z dumą łagodny subiekt.

A stary osadnik nawet się skarży:

— Ja jak 5 minut biblię poczytam to mi się zaraz spać zachce, ale moi to czytają i czytają tylko te elektrykę wyświecają. Jak nie gazety to książki. A rano ich budzić do roboty, to skarani boskie, jak się opędzają.

10 miesięcy temu na Śląsku szalał szaber o jakim nie śniło się filozofom. „Księżycowi rycerze” wywozili stąd całe wagony „niczyjego” dobra, kilkotonowe ciężarówki zawrotnych bogactw. W złotodajnej krainie rabunkowych możliwości stworzonych przez początkowy chaos i brak kontroli, dość było miejsca zarówno dla potężnych gangsterów, jak skromnych kieszonkowców. — Dla tych, którzy nie spoczną, nim nie posiadają kilku luksusowych mieszkań i tych, którzy chcieli sobie tylko nieco upiększyć własny, ulubiony pokój. Wielcy i mali nie czuli do siebie zawiści, nawet popierali się dobrotliwie, udzielali sobie życzliwych rad i bezcennych wskazówek złączeni wspólną palącą namiętnością łupiestwa. Potem pilnie przestrzegani przez kontrolę zakaz wywozu nieruchomości pograżyli w żalobie serca szabrowników. Nawet sklepy komisowe zaraz przestały prosperować... „bo jak wywozić nie wolno, to kto tu kupi?” A dziś ileż razy słyszy się na Śląsku westchnienie pełne tęsknoty i rozżalenia: „Mój Boże, żeby to wszystko co tu, mógł mieć tam.”

I zrobiło się ciasno złocistym królewiczom rabunku. A wraz ze skurczeniem się szabrowniczych szans zwietrzała wzajemna łaskawość małych ludzi do wielkich interesów. Sporo jeszcze bohaterów bezprawia ujeżdża po ziemi śląskiej. Ale muszą sobie już bardzo głowę łamać i bokami robić, aby coś nieoczo dla siebie skubnąć. Przeważnie zahaczyli się o jakieś urzędy i szaber uprawiają tylko „na stronie”. Może niedługo będą już musieli zacząć tylko pracować. Na zawsze pozostał za nimi olśniewający czas kokosowych triumfów osiągniętych nieznacznym wysiłkiem paru godzin. Strwożone serca gniecie coraz mocniej nieznośny lęk przed konkurencją. Więc wszelkimi środkami starają się ją sparaliżować. W ten sposób jednolity front szabrowników zlamana niepomyślna koniunktura. Wodzą się obecnie za lby dotychczasowi najczulsi przyjaciele. Klóca się, lżą, skarżą, donoszą i prawują. Wśród piany wściekłości i obelg wypływa na wierzch oliwa prawdy o tysiącznych złodziejskich sprawkach.

„— Żebyście wszyscy z ciała oblecieli za fałszywe zeznania i okradzenie mnie. Ukradł wasz ojciec maszynę do pisania płaszcze i materiał, szabrował to Niemców, grabiliście Żydów i mało wam jeszcze? Oszabrowaliście cały Koźuchów i też mało? 6 majatków w Bystrzycy to chyba dość. — A teraz zobaczmy kto wywoził masło do domu, kto wywoził całego świniaka, co widziałam, całą beczkę mięsa (może o tym nie wiecie, ale ja wiedziałam) całą beczkę maki też mieliście z majatków państwowych. Chciałam z wami postąpić po ludzku, a wy — jak świnię. A my na wszystko mamy świadków, którzy założyliście do sprawy, może szanowny obywatel nie wiedział o tym jeszcze kto istnieje i kto może świadczyć, bo może takżebym przekupił fałszywie, by zeznawał? Tak nie można się opierać na tym, co Niemce brakuje. Gdzież ta Niemka jest, której rzeczy są zeznane? Także mamy świadków narodowości polskiej, którzy będą zeznawać, no i zobaczmy, kto się będzie wstydził.

**Wy złodzieje! Wy szabrowniki! Wy sezonowa rodzinka. Żeby was święta ziemia nie przykryła, a pani Mazurkowa stojąca przed obliczem śmierci, żeby w godzinie skonania wnętrzości z niej wyszły i co najwięcej kocha niech Bóg zawsze w tym zasmuci i jedyna córka, która przebywała wciąż razem i jest najlepszym świadkiem, żeby tyle nieznacznie ją spotkało, ile było kawałków zeznanych, żeby te dwa tuziny chustek wciąż były mokre od łez i te 11 prześcieradeł, które ojciec przywiózł i liczył w moich oczach teraz zeznał na nas,**

żeby spotrzebował na bandażu i pieluchy dla swych rodziców, którzy już i tak w grobie gniją. Żeby kara boska was nigdy nie opuszczała — żeby was Bóg złożył wszystkim ciężką chorobą i żebyście zgnili we więzieniu, czego za fałszywe zeznania możecie się spodziewać. — Duszak głupi ale dojdzie swego prawa, a Mazurek mądry zgnie jak trędowny pies. Wy nieuki! Wy analfabety! Żebyście trzy tysiące razy konali i skonać nie mogli. Żebyście trzy tysiące boleści przecierpieli. — Z okazji nadchodzącego święta to chyba tych życzeń starczy, bylebyście mogli ich znieść.” A z Nowym Rokiem tego samego wam życzyć będziemy. Duszakowa.”

Takie serdeczne życzenia posyła rodzina Duszaków — rodzinie Mazurków. Poszło im o dwie maszyny do pisania, dwa radia, jakieś chustki, prześcieradła itd. Duszak i Mazurek byli administratorami na majątkach państwowych w powiecie Bystrzycy. Gospodarowali tak umiejętnie, aby jak najmniej z siebie dać, a najwięcej dla siebie wziąć. Żyli ze sobą w harmonii i w zgodzie opuścili stanowiska, kiedy trafiło im się coś lepszego. A nowemu administratorowi władze ostudziły płomienny zapał do szabru. Więc zaraz w rozżaleniu przypomniał sobie o Duszaku. Że przecież brał. A Duszak wspominał Mazurka. Przecież też brał. Szlachetne oburzenie, z którym zaczęły wyrzucać sobie nieszlachetne postęпки jaskrawo oświetliło istotę spraw okrytych dotychczas zasłoną przyjacielskiej tajemnicy. Rozpętała się trąba powietrzna, najstraszliwszych, rzucanych sobie złorzeczeń, orkan oskarżeń, zawrotny wir splecionych ze sobą wspomnień o świństwach. Powyższy list to tylko mikroskopijny wycinek z historii tego starcia. Jest tak bardzo typowy, bo autentyczny w każdym słowie. Mówi o tym niezwykła jego kwiecistość, której obrazowego stylu nie zdołałby podrobić najrzęczniejszy fałszerz — plagiator.

Jeszcze wielu Mazurków wodzi się na Śląsku za lby z Duszakami. Wypominają sobie stare grzechy i skaczą do garda o podział łupów. Ale będzie ich coraz mniej. I łupów, i Duszaków, i Mazurków. Wygryzą się między sobą, albo zlikwidują ich władze.

Bo Śląsk z miesięcy wczorajszego bezhołowania wchodzi w lata dzisiejszego wysiłku, aby skrzepnąć w wieki jutrzejszego porządku, spokoju i dobrobytu.

Ludzie, ziemia i komunikacja — oto kapitał przyszłości Śląska, oto potężny fundament rozwoju jego potęgi ekonomicznej. Przez pierwszy rok gospodarzenia naszego na Śląsku potrafiliśmy objąć go całkowicie w posiadanie. Setki tysięcy Polaków, którzy wkorzenili się tu na zawsze skuło tę piękną ziemię z Ojczyzną przemocną klamrą wspólnoty i jedności.

Na drugim etapie rozumnej organizacji przyszłości, gdy szczęśliwie pokonałmy obawę braku ludzkiego surowca, musimy umieć przeprowadzić celową selekcję tego materiału. Minał karkołomny okres pierwszych wyjęzonych wysiłków pionierskich, kiedy nauczyciel ludowy zabezpieczał tartaki, a dyplomowany agronom naprawiał auta w Urzędzie Samochodowym. Wraz z normalizacją stosunków potrzeba kraju grzmiącym głosem wzywa: właściwi ludzie na właściwe miejsca! W przemyśle, gdzie brak kwalifikacji od razu pracownikowi owo miejsce wyznacza — zagadnienie to jest mniej więcej uregulowane. Natomiast w rolnictwie, gdzie skutki fuszerki ukazują się dopiero na przestrzeni rozwleczonych okresu biologicznych rozwojów i chemicznych przemian — wielu jeszcze kołata się nie-szczęśliwów, u których jedynym pretekstem do zajmowania danego stanowiska jest chyba... umiowanie natury. Oto mały przykład wybrany wśród wielu:

Do Urzędu Ziemskiego jednego z powiatów zgłosił się kandydat, żądając posady kierowniczej w administracji majątków państwowych. Lustrator ziemski chciał zbadać jego kwalifikacje.

— Pan wie jak się nastawia siewnik?  
— Nie.  
— A ile się sieje rzepaku na jeden ha?  
— Nie wiem.  
— No a żyta albo owsa?  
— Nie wiem i nie potrzebuję tego wiedzieć. To są obowiązki rolnika, a ja chcę objąć stanowisko kierownika. Tamte rzeczy mnie nie interesują.



„...Odra, quasi spolians, eo, quod praecipiti cursu suo spolia nemoribus et campis inferre consuevit, qui et ipse a scriptoribus latinis Guttalus inscribitur, cuius fons prope oppidum Odri, ostiis quatuor infunditur in magnam paludem, quorum primum apud villam Swynia, quod in Polonico vulgari significat scropha; secundum apud villam Dzywno, quod in Polonico idiomate sonat mirabile, tertium apud villam Pyana, quod in Polonica sonat spu; ma; quartum apud oppidum Wollgosth. Evolvens autem se de lacu, stricto alveo in Oceanum prope oppidum Stralsunth ilabitur Oceano sive Sarmatico mari...”

Tłumaczenie polskie.

„Odra, jakby odzierająca, że w biegu bystrym łupy z pól i lasów ze sob- unosi. U pisarzy łacińskich zwana jest Guttalus. Źródło blisko miasteczka Odry, wpada zaś do wielkiego jeziora czterema ujściami, pierwszym pod wsią Swynia co w języku potocznym znaczy świnią, drugim pod wsią Dzywno, co w mowie polskiej znaczy dziwny, trzecim u wsi Pyana, co w języku polskim znaczy piana, czwartym pod miasteczkiem Wollgosth (Wołgoszec). Wyławszysy się wreszcie z jeziora wąskim korytem u miasteczka Stralsunth, wpada do oceanu czyli Sarmackiego morza (Bałtyku)”.

Jan Długosz „Historiae Poloniae, libri XII”.



Poparty przez władze wojewódzkie kandydat został przyjęty jak rządcą folwarku.

Ów obywatel jest zdemobilizowanym żołnierzem, którego zasług nie wolno umniejszać. Jest także przyzwyczajony i rozsądnym człowiekiem. Ale czy konieczne musi gospodarować na kilkudziesięciu hektarowym obiekcie rolnym, kiedy niewątpliwie mógłby być dużo lepiej wykorzystany w odpowiedniej spółdzielni, czy spółce handlowej? A ileż razy słyszeć można takie smętne utyskiwania administratorów:

— Zgłosił się na praktykanta rolnego, tom go przyjął. Idę przed południem w pole z kontrolą. Ludzie robią, praktykant śpi w życie. Idę po południu. Ludzie robią, praktykant śpi w pszenicy. A na drugi dzień ludzie w ogóle przerwy obiadowej nie mieli, bo praktykant gdzieś się zawieruszył i nie miał im kto powiedzieć, kiedy mają przestać. A teraz znudziło mu się i odchodzi jak od koryta. — Żyzna ziemia śląska, na której plon tak bardzo wszyscy liczymy, wymaga troskliwej uprawy, żąda fachowego planu płodozmianów, należy jej się pilna i solidna robocizna. Dobrze przemyślane i rozumne operowanie materiałem ludzkim z pewnością wypełni te postulaty i nie pozwoli na zmarnowanie siły dynamicznej tych, którzy gdy pracują w obcym nieznanym sobie zawodzie, nie mogą być dostatecznie pożyteczni. Tegoroczne zbiory zapowiadają się na Dolnym Śląsku bardzo pięknie. Ale już narasta nowa troska rolników, dla których terazniejszość i przyszłość powiązane są ogniwami pór roku w jeden nieprzerwany łańcuch. Brakuje nawozów do użytkowania ziemi. Wysoka kultura rolnicza Niemców i stosowanie przez nich intensywnego nawożenia sprawiły, że na razie bujnie rosną kłosa, które na jesień zamieniają się w chleb. Ale co będzie dalej? Niski stan pogłowia bydła ogranicza ilość nawozu naturalnego, sztucznych wyrabia obecnie Polska bardzo niewiele.

Drugie poważne zmartwienie trapiące tujejszych ludzi, których wkład własnej intensywnej pracy przeobraził w nieklamanych śląskich patriotów, — to stan dróg, tego gospodarczego unerwienia kraju. Nieskazitelnie gładkie asfalty zamieniły się już w wielu miejscach w chropawą powierzchnię, porytą wybojami, podobną twarzy ludzkiej pomarszczonej śladami ospy. Niezmiernie rzadko, może co kilkaset kilometrów, spotyka się starego dróżnika Niemca, jak doły w twardej nawierzchni autostrady zasypuje kleistą gliną i przyklepuje łopata, niby małe dziecko bawiące się niefrasobliwie lepieniem babek z piasku. Cóż znaczy te śmieszne wysiłki wobec zupełnego braku urządzeń do naprawy dróg.

\* \* \*

Na Karłowicach gęsto rosną lipy po obu stronach szerokich, lśniących asfalem ulic. Oszałamiająco pachnie o zmierzchu lipowy kwiat wśród brzuchatych liści, poruszanych łagodnymi podmuchami wiatru. Od ogrodów płynie kwaskowata woń płomiennych nasturcji i ów najśłodniejszy zapach nabrzmiałej rosą rezedy. Obudzone nietoperze niespokojnymi zygzakami przelatują przez ciepły zmrok. W popielatym powietrzu zacierają się kontury postaci spieszących od przystanku tramwajowego do domu. Kobiety niosą kolczaste wiechcie obsypane uroczą mnogością drobnutkich, ciasno słoczonych na gałęziach różyczek. Dzieci podniecone tą tajemniczą, ostatnią przed nocą godziną uganiają z krzykiem po chodnikach, daremnie zapędzane przez matki do łóżek. Przed bramami stoją mężczyźni i śmiać żarzące się w mroku papierosy leniwie pogadują o całym dniu, tak samo jak o tej porze na każdym przedmieściu wszystkich miast.

Bo Karłowice i Różanka to przedmieścia Wrocławia za Odrą, prześliczne dzielnice nowoczesnych will, którym zieleń ogrodowych krzewów pcha się do okien, a ściany otulają gęsto tkane oponczce dzikiego wina. Nie znać tu zupełnie zniszczenia, tylko czasem w słotne dni miniona wojna rzuca o sobie złowieszcze przypomnienie mdłym odorem trupów, który wiatr nawiewa z części Wrocławia, zmiądzonych w czerwoną pył.

Gdy objęliśmy zniszczony 4-miesięcznym oblężeniem Wrocław, wobec ograniczonej ilości domów mieszkalnych w śród-

mieściu, Polacy sadowali się przede wszystkim na Karłowicach.

Tutaj właśnie szukam dziś ulicy, która 10 miesięcy temu nazywała się jeszcze „am Muehlergrunde“. Ale pokost upływającego czasu musiał już zatrzeć w polskiej pamięci niemieckie nazwy, bo po wielu bezskutecznych zapytaniach dopiero chudy przechodzień w zatłuszczonym kombinie i z jakimś podłużnym, stalowym narzędziem pod pachą domyśla się:

— Muehlengrunde, Muehlengrunde — to musi być Juliana Klaczki.

— A skąd pan wie?

— No ja tu jeżdżem od sierpnia. Poprowadzę panią „na krótszą“, bo Klaczki, to po drodze do mojego mieszkania.

W smugach kwiatowych zapachów idziemy śpiesznie przez wąskie ścieżki między bujnymi ogrodami. Mokre od rosy gałęzie głaszczą z szelestem po twarzy, spod nóg wyskakują sprężyste i zapadają w trawę małe żabki, niedaleko zagwizdała przeraźliwie lokomotywa i niby echo bardziej żalosne, odpowiedziała jej syrena statku na Odrze. Mijamym cieniom, w których widocznie rozpoznaję mimo prawie już nieprzejrzystej, ciepłej ciemności znajomych, opowiada mój przypadkowy przewodnik najważniejszą nowinę głosem poważnie obojętnym, jaki miewają ludzie bardzo przejęci. Ze przyszedł pierwszy transport od Kruppa. Zupełnie nowe obrabiarki. Takich maszyn jeszcze nie widzieli!

To do fabryki wagonów we Wrocławiu przybywają komplety urządzeń wymontowanych z niemieckich zakładów zbrojeniowych Kruppa. Nowy znajomy jest majstrem we wrocławskiej fabryce. Pochodzi z Krakowa, ale nic w tej chwili nie wydaje się go obchodzić poza tą jedną jedyną sprawą. Jednym tchem, jakby bez przecinków i kropek wyrzuca z siebie:

— To nie żaden Zieleniewski z Krakowa, to grzmot nie fabryka rok temu byli sami Niemcy dziś pracuje 3.600 Po-

Andrzej J. Kamiński

## Druga dusza

Nie dzieląc w zasadzie poglądów, wyrażonych w poniższym artykule, drukujemy go przeciw ze względu na nowe naświetlenie zagadnienia niemieckiego i na oryginalne doń podejście; artykuł ten tedy traktujemy jako artykuł dyskusyjny.

REDAKCJA

Zdanie Artura Greisera o jego „dwóch duszach“ obiegło Polskę. Wywołało wiele uśmiechów i wiele wykrzykników oburzenia. Przebrzmiało. Na losach procesu nie zaważyło i nie uwolniło Gauleitera Warthelandu od oczekującego go słusznego stryczka. Prokurator wyraźnie powiedział oskarżonemu, że nas interesuje ta dusza, z którą zapoznali się Polacy.

Ale czy nas, naród, naprawdę nic więcej nie interesuje?

Nie jest dla mnie, ani dla nikogo z nas, ważne, co myślał sobie Artur Greiser — „małpa z brzytwą w ręku“, jak go określił generał Guderian. Rzeczą sprawiedliwości było ścigać byłego kacyka gdańsko-wielkopolskiego po krętych i wykrętnych ścieżkach jego obrony. Ale ten osobnik w jasnej marynarce, siedzący jeszcze wczoraj za stolikiem w Auli Uniwersytetu Poznańskiego i czepiający się życia, które tyłu ludziom wydarł — niechający i nieświadomie zaczepił o problem olbrzymi, problem na miarę światową. Problem, który usiłują w tej chwili najgłośniej głośczyć światła rozwiązać przy akompaniamencie dogadywań niezliczonych organów prasowych.

Nikt nie jest bardziej zainteresowany w rozstrzygnięciu i rozwiązaniu tego problemu, niż my, Polacy. I tak się składa, że właśnie my najmniej o nim myślimy. Nie znaczy to bynajmniej, że mówimy o nim mało, ale mówimy truizmy, z których żaden Polak, ani żaden Anglosas nie dowie się niczego nowego. Polak — bo już wie, Anglosas — bo nie przyjmie do wiadomości.

Pisałem niedawno we wstępie do pracy o systemie niemieckich obozów koncentracyjnych: „Kaźnia ze zbrodni, jakie popełnił naród niemiecki wystarczyłaby sama jedna, aby zhańbić na wieki naród, który obciążał nią swoje sumienie.“ Cokolwiek będę mówił poniżej, zdania tego

laków wypuszczamy 12 węglarek dziennie i coraz nowe hale się naprawia maszyną montuje z początku nie było wyplat to teraz się płaci ludziom wstecz

a te maszyny od Kruppa które otrzymujemy w ramach odszkodowań od Związku Radzieckiego nie żadna lipa, nowiusieńkie. Mogli by Rusy przecież sobie zabrać a dają nam. To pani ma, jak głupcy niektórzy szkalują podle i szkodzą nie Rosji, ale samym sobie gdy idiotyczne plotki fabrykują. My robotnicy fabrykujemy wagony, nie plotki. O, dużo się zrobiło, rzecz jasna a jeszcze za rok dopiero wszyscy będą widzieć! — kończy prawie szeptem. Dziś w daremnym mozo-le szukam tych jedynych i niepowtarzalnych słów, którymi pragnęłoby się wyrazić właściwy sens śląskich przeobrażeń, określić potężną prawdę zorganizowanego wysiłku nazwać piękne rezultaty świadomej pracy.

I gdy się myśli ze wzruszeniem o tych równo obsianych polach, fabrykach, drzących od warkotu rozpedzonych maszyn, pociągach po sinych szynach śpieszących wytrwale do stacyj o polskich nazwach i o ludziach, którzy wbrew pożądlivości szabrowniczych rzeźmieszków tego wszystkiego dokonali — nasuwa się nieodparcie właśnie tamto proste zdanie, wyprane z patosu, a nabite dynamiczną treścią wspaniałych osiągnięć:

Dużo się zrobiło na Śląsku, rzecz jasna!

Już czas

odnowić

prenumeratę

„ODRY“

## Oświadczenie

Pragnąc upamiętnić naturalny protest Narodu Polskiego przeciw ohydny mordercom, dokonywanym na Żydach, a zwłaszcza pragnąc potępić bestialski, godzący w godność Rzeczypospolitej mord kielecki — przyłączamy się do publicznych oświadczeń, złożonych przez polski świat kultury, napiętnujących pomurę wy-czyny zbrodniczych elementów rasi-stowskich w Polsce. Oświadczamy naszą stanowczą wolę walki z ideologią antysemityzmu, przeczącą podstawowym zasadom człowieczeństwa, więc i chrześcijaństwa. Stanowisku temu dawaliśmy już zresztą niejednokrotnie wyraz na łamach „Odry“. Wyznawców antysemityzmu surowo potępiamy jako burzycieli ładu, opar-tego o idee humanizmu, oraz jako bandytów niegodnych imienia Pol-ski. Wszelkie zabójstwa są dowodem upodlenia natury ludzkiej i obrażają Boga i człowieka.

Zespół »Odry«

nie cofam. Ale niestety nie rozwiązuje ono niczego.

Jeżeli naród ma 10, 20, 30 czy 50 % morderców od dołu — tzn. wśród kategorii ludzi mniej oświeconych, mniej kulturalnych i mniej ucziłowiczonych, stojących niżej na drabinie między małpą i aniołem, na której rozgrywa się komedia ludzka — to go to jeszcze nie dyskwalifikuje, daje mu bowiem szansę dalszego rozwoju wzwyż. Ale gdy zaczyna się to od góry — gdy zbrodnia ubiera się w sędziowską toge, przybiera najwyższe tytuły naukowe i kulturalne, gdy lekarze pełnią funkcje zwykłych katów, a studenci opracowują szczegóły planu mordowania narodów — gdy nie tylko system państwowy, ale aparat naukowy, prawny, kulturalny, staje się narzędziem zbrodni — wówczas dany naród nadaje się jedynie do... wytopienia, rozwój jego bowiem może iść tylko w kierunku jego warstw najwyższych, to znaczy w kierunku zbrodni.

Tak stało się z narodem niemieckim i dlatego należało by go po prostu wytepić.

Rzecz jasna, że tego się zrobić nie da, ani tego zrobić nie wolno. Na to trzeba by znaleźć drugi taki naród niemiecki — np. sprowadzić w tym celu Japończyków! — który by z właściwą fachowością to uczynił.

Zostaje druga, o wiele trudniejsza droga: poznać dobrze naturę i obyczaje tego dzikiego zwierzęcia, które dziś leży oplątane w mocną sieć, ale które w tej sieci wiecznie leżeć nie będzie. Musimy wiedzieć, jak je unieszkodliwić. Proces Greisera pokazał między innymi, że poważne próby w tym kierunku przedsię-wzięto — czy jednak znajomość nasza nie dotyczy raczej narodowego socjalizmu, niż Niemców po prostu?

Wszystko zaś to, co dotąd o Niemcach u nas opublikowano — to tylko liczne kropki nad „i“, raz jeszcze dowodzące, że to naród zbrodniarzy. To mówić trzeba innym, tym, którzy jeszcze nie wiedzą,

nie wierzą i nie rozumieją. Nam, którzy najlepiej możemy Niemców poznać, czas już zastanowić się poważnie nad czymś więcej, niż te materiały dowodowe w niemieckim procesie, w którym i tak przeciw oskarżonemu narodowi niemieckiemu sprawiedliwy wyrok nie zapadnie.

Artur Greiser powiedział, że ma dwie dusze. Dwie twarze narodu niemieckiego znamy. Jedna, bujna i władca, ponura i zła — ta, którą okazuje Niemiec zwyciężonym, Druga, układna i pokorna, słodka i lisa, przeznaczona dla spojrzeń zwycięzców.

Dwoista dusza tego dziwnego narodu błyska naprzemian Geronem i Gutenbergem, Goethem poetą i Goethem radcą stanu, opracowującym m. in. plan germanizacji szkolnictwa w zabranych ziemiach polskich, Liebigiem, Kochem czy Siemensem — i Bismarckiem, Hitlerem czy Heydrichem.

Bardzo udatny dowcip o „koniach trojańskich“, w których, pod pokrywką nazwiska Beethovena czy Mozarta Niemcy chcą przemycić kohorty SS — nie może jednak zmienić faktu, że Beethoven i Mozart żyli i byli Niemcami. Gdzież więc niemiecka prawda?

Nie wiem i nie chcę wcale twierdzić, że ją znalazłem. Ale szukałem jej pilnie w tych wszystkich niezliczonych drukach spod znaku swastyki, o które tak łatwo było w t. zw. GG przed niedawnym czasem. A potem ocierając się o Niemców dzień i noc, słuchałem.

Nim cokolwiek powiem dalej, zaznaczam, że nie wyniosłem z gestapowskiej izby tortur ani z obozu koncentracyjnego — życzliwego usposobienia dla Niemców. Ten zarzut więc — najłatwiejszy dla naszych lubiących szablony mózgów — celną odpowiedzią na wywody moje nie będzie.

Brzmi mi w uszach strzępek pewnej rozmowy — kiedy leżąc na izbie chorych na „Rievier 2“ w Gross-Rosen miałem wiele czasu na słuchanie i myślenie. W te



nudę wpadły pewnego razu słowa rozmowy dwóch Niemców, z których jeden opowiadał drugiemu o bogactwie kogoś trzeciego: „Mensch, ganze Valisen voll Speck!“ (Człowieku, całe walizki pełne słoniny!).

Nie zwróciłbym na nie uwagi, jako na przejaw zwykłej w lagrze manii jedzenia, nawet u najbardziej sytych, jeżeli przeszli okres głodu — gdyby się nie skojarzyły z cytowanym bodaj przez J. Kisielewskiego („Ziemia gromadzi prochy“ — ale nie jestem pewny, czy to właśnie tam!) dwuwierszem o „idealnym celu życia“ Niemca — słoninie. I po krótkim szukaniu w pamięci ten motyw zaczął mi odbzmiewać z wielu „Walk o niemiecki wschód“ i podobnych dzieł aż do „Mein Kampf“ włącznie.

Nie będę prowadził czytelnika na drogach, na jakich szukałem dowodów dla mojej tezy. Dość, że zebrałem ich sporo.

Zostają nam do wyboru tylko dwie drogi postępowania z Niemcami, jeżeli nie chcemy być zmuszeni do nieustannej gotowości bojowej — trzeba ich wytepić, albo dać im jeść.

Słyszę dokładnie krzyk oburzenia na tę propozycję karmienia tych, którzy głodzili Europę. Głodzili i mnie — ale tu nie o zemstę idzie, ale o przyszłość Europy. Problem wart chwili zastanowienia.

W pierwszym tysiącleciu naszej ery Germanów było wszędzie pełno. Italia, Afryka, Hiszpania, Bizancjum, opędzają się od nich mniej lub więcej skutecznie w każdym razie hordy germańskich wojowników przedzając czy później biorą górę. Podbijają i łupią — gdy złupią, podbijają znowu. W tym czasie, wedle Cezara, część ich pozostaje na roli, druga część rusza na wyprawę, by się po roku zamienić. „Agriculae non student maiorque pars eorum victus in lacte, caseo, carne consistit“. Sprzymierzonych Burgundów np. rozmieszczają Rzymianie po osiedlach gallickich z obowiązkiem żywienia ich przez ludność miejscową.

Wikingowie, z tego samego pnia pochodzący, krążą po europejskich morzach, łupiąc wszędzie. Anglowie i Sasi, z tej samej rodziny, także na morzach szukają przysług, aby po krótkim popasie na mglistej wyspie brytyjskiej szukać ich znowu po wszystkich oceanach. A przybrani białym płaszczem zakonnym Germanie wędrują wzdłuż bałtyckiego brzegu aż do zatoki ryskiej.

W tym czasie i później o słowiańskich podbojach nie słychać. Słowianie nad Wisłą, Odrą, Wełtawą i Łabą stanowią raczej przedmiot, niż podmiot podbojów. Aż po dwóch stronach linii dzielącej Polskę i Niemcy wytworzą się dwa typy rycerza — raubritter i ziemianina.

W Niemczech powstają miasta i zamki — u nas dworki modrzewiowe. Niemiecki kupiec hanzeatycki wędruje od Bergen do Nowogrodu; polski ziemianin nosa ze swej parafii nie wytyka. Aż wreszcie, w tym samym stuleciu, w którym Niemcy rabują Rzym (1527) Polska ustala, ile król ma płacić szlachcie za zagraniczną wyprawę i ogranicza jej trwanie, a nawet samo rozpoczęcie od wyraźnego postanowienia sejmku (1573). Wystarczy bowiem Polakowi odpędzić nieprzyjaciela co rychlej, aby wracać do swych rolniczych zajęć.

Niemcy nie są rolnikami. Chociaż — a raczej właśnie dlatego — u nich kultura rolna stała o tyle wyżej niż u nas i oni wymyślili nawozy sztuczne, i „Bauer“ było tytułem honorowym, nie jak nasz „chłop“ niedawno zrehabilitowanym słowem pogardy.

Niemcy nie są rolnikami i dlatego cała ich uwaga zwrócona jest na problem wyżywienia. Dlatego u nich, nie u nas, urodził się Liebig — dlatego do parokroć gęściej niż Polska zaludnionych Niemiec, jeździli na roboty rolne nasi chłopci. Dlatego okres przemysłowej koniunktury po roku 1871 tak łatwo wyrwał chłopów niemieckich z korzeniami z ziemi i przesadzał ich do miast. Dlatego przed dwoma tysiącami lat jedna zmiana germańskich wojowników odprawiała swój „dyżur“ przy grzebaniu w ziemi, czekając na swą kolej w miłej sercu wojnie — i dlatego w germańskim rajku był dzik pieczony, którego nie ubywało.

Naszło ich do Polski tysiące — i osiedli w miastach. Prawo niemieckie w Polsce miało miejski charakter, mówi nam nauka. Niemcy nie lubią roli, nie lubią na niej pracować — i dlatego nie mogą z niej żyć. Propaganda hitlerowska za podniesieniem stanu chłopskiego, przymus

pracy na roli (Landjahr), organizacja „Reichsnährstandu“, rojenia min. Darré o „Neuer Adel aus Blut und Boden“ — czyż nie dowodzą tego samego?

Nie dlatego śpichrzem Rzeszy był wschód, że tu ziemia była żyzniejsza, ale dlatego przede wszystkim, że tu Słowianin orał i siał.

Opasły, czerwony na pysku Niemiec — jest głodny; nasz błądy i chudy chłop nie boi się głodu tak organicznie, jak tamten. Bo ten wie, że własne ręce i splacheć ziemi wykarmią go; tamten nie może liczyć na siebie, ani na tę ziemi, której nie kocha i nie rozumie. Boi się głodu. Dlatego marzeniem Niemców były zawsze nie zamorskie łądy złotonośne, ale chlebobojne równiny polskie i ruskie z osiadłym na nich pracowitym rolniczym ludem.

Nie tylko Niemcy sami. Także i Szwedzi, łupiący kiedyś Europę od Lützen aż po Połtawę, także i Anglosasi, krążący po wszystkich morzach i nie mogący dziś wyżyć — przynajmniej co do Anglików — bez przywozu żywności na wyspę. Ale Anglosasi zmieszali się z innymi rasami, jeśli chodzi o Anglików, to podobni do Słowian Celtowie odegrali tu dużą rolę; Skandynawowie odwykli do wojny i w swych rzadko zaludnionych północnych ziemiach nauczyli się sami żywić.

Niemcy, nie umiający uprawiać ziemi i szukający tych, którzy za nich robią, należą w pierwszym rzędzie do narodów głodnych, narodów bojących się organicznie głodu, bo niepewnych własnych podstaw wyżywienia.

Nie znaczy to wszystko, że tak jest dobrane jak jest — że właśnie my wolimy orać, niż cokolwiek innego robić. Ale tak jest po prostu i fakty są dość wyraźne, aby je dostrzec.

Mieczysław Markowski

## Warszawa krzepi

Prasa stołeczna od „Głosu Ludu“ po „Gazetę Ludową“ w dzień powszedni narzeka na wszystkie instytucje związane z odbudową Warszawy; od święta jedynie (od święta państwowego) zamieszcza czułe panegiriki w rodzaju: zrobiliśmy, wybudowaliśmy... w tak ciężkich warunkach... w ciągu tak krótkiego okresu czasu itd.

Ale prasa stołeczna nie ma racji. Jest ona zresztą w warunkach podobnych do tych, w jakich znajduje się najbliższa rodzina rekonwalescenta: obcuje z nim codzień nie potrafi dostrzec poprawy w wyglądzie zewnętrznym, wracającego do zdrowia; bardzo łatwo natomiast każdy żywszy rumieniec dostrzeże ten, który pacjenta nie widział, powiedzmy sobie, miesiąc.

Pięć miesięcy upłynęło od mojej ostatniej bytności w Warszawie (oglądałem ją zresztą od radosnego 17 stycznia 45 r. zawsze w takich mniej więcej odstępach) i to co zobaczyłem upoważnia mię do entuzjastycznego zamknięcia swych wrażeń słoganiem: Warszawa krzepi.

Chodzenie ulicami Warszawy przestało już mieć charakter wysokogórskich wycieczek. Te przyjazne warunki ułatwiają znacznie włóczęgę... W upalny dzień snuje się tedy ruchliwymi arteriami i... co krok niespodzianka. Znajdują się starzy znajomi. Księgarnie... Trzaska, Evert i Michalski, Gebethner i Wolff, Arcf... Widok sztyldów tych firm wywołuje jakiś dreszczyk, ale stanowi zawsze zaskoczenie. Trzaska, Evert na Marszałkowskiej... Tak jakby ci żona sprzątała gabinet: wejdziesz po tej operacji — wszystko jest, ale wszystko na innym miejscu. Na placu Zwycięstwa Mogiła Nieznanego Żołnierza. Spróbujcie ją oglądać bez wzruszenia. Fragment tego co było niegdyś. Bolesna rana tej pozostałości krwawi jeszcze czerwienią żywej cegły, wyglądającej z poszarpanych boków sklepienia. Jakbyś zobaczył rękę urwaną do łokcia z niezagojoną bliźną. Ale Grób ten sam i symbol ten sam. Symbol, który mówi: Warszawa ciągle jeszcze w ruinach, ale w Polsce i ruiny żyją!

Grób ten sam, ale jakiś chyba bardziej uroczysty. Przybyły urny z ziemią z pobojowisk ostatniej wojny. Przybyły tablice, głoszące nową chwałę żołnierza polskiego.

Na Placu Małachowskiego grupa młodych ludzi, z torsami spalonymi na ciemny brąz od słońca, związa się przy robotach

Jest dość znaną prawdą, że strach popycha do najbardziej nieobliczalnych czynów. Jedną z rzeczy, których się boją Niemcy — nie jedyną — jest głód. Głód, który groziłby temu narodowi nieuchronnie, gdyby został na świecie sam, głód, który przepędził Germanów z miejsca na miejsce, „gdy pola się wyjałowily“, głód, którym pokonano ich w roku 1918, który każe im żreć, nie jeść i zabierać dziś z Ziemi Zachodnich przede wszystkim — tłuszcz.

Nie co innego jest źródłem dzikich niemieckich wyczynów. Jeżeli zaś wobec Polaków przybrały one szczególnie jaskrawy charakter, to dlatego, że z ich strony Niemiec boi się czegoś innego, co mu również śmiertelnie grozi, a o czym kiedyindziej mówić będziemy.

Świadomość braku we własnym narodzie zdolności rolniczych, kazała m. in. Niemcom kraść ludzi — tak dzieci, jak i dorosłych przy pomocy Volkslisty. Proces Greisera i tu dostarczył ciekawych danych, mówiących o wysyłaniu kradzionych dzieci polskich i czeskich na ziemie Niemiec do rodzin zastępczych niemieckich. Przemysłowość niemiecka w tak olbrzymich kwestiach jest równie przerażająca jak — imponująca.

Skoro zatem narodu niemieckiego nie można — po prostu wytepić, to w wychowaniu go na nowo nie można zapominać o słoninie. Niemcy są zdolni i twórcy, ale wyżywić się sami nie umieją, a widmo głodu popycha ich do tego, co odczuliśmy tak bardzo na własnej skórze.

Obłaskawienie Niemiec, nakarmienie ich, przypuści może bardziej do głosu drugą duszę narodu niemieckiego, duszę narodu myślicieli i artystów, a przede wszystkim uczonych i techników. Można nie

brać tego pod uwagę, ale fakt jednak faktem pozostanie, że niemiecka sztuka plastyczna np. (zaznaczam, że nie jestem specjalistą!) osiągnęła już w ostatnich czasach poważne zdobycze (vide czasopismo „Kunst dem Volk“ — reprodukcje najnowszych obrazów i rzeźb); że niemieckie maszyny do pisania np. są bezwzględnie lepiej skonstruowane od amerykańskich; że w ogóle techniczna inwencja niemiecka jest niewyczerpana. Tym bardziej szkoda jej na krematoryjne piece i sprężynowe narzędzia tortur; tym bardziej należało by drugą duszę niemieckiego narodu napełnić innymi, pożyteczniejszymi dla ludzkości dążnościami.

Uspić trzeba duszę dzikiego zwierzęcia, zdolną wobec widma głodu do czynów najbardziej nieobliczalnych, która tamtą, drugą, wykrzywia i w służbę zbrodni zaprzęga.

Należałoby powiesić wszystkich członków partii hitlerowskiej, na podstawie samej przynależności; wszystkich SS-manów i SA-manów, wszystkich wyższych oficerów i urzędników. Należy rozbroić Niemcy tak, aby w ogóle nie miały armii, floty ani lotnictwa, ani jednej armaty czy czołgu. Ale trzeba im dać możliwe warunki materialne życia, bo inaczej zaczną od początku.

Rzecz prosta, nie nawołuję do odejmowania od ust naszym dzieciom, żeby nakarmić potomstwo niemieckiej bestii. Ale jeżeli Anglosasi dzisiaj za dobrze Niemców podkarmiają — z jakichkolwiek względów to czynią — czynią mądrzej niż głodząc ich po r. 1918.

Im więcej będzie w Niemczech jedzenia, im bardziej brzuchy sadłem im obrosną i od piwa napęcznieją, im bardziej zapewnione będzie wyżywienie, tym trud-

pragnie. Skąd ten nagły impet? Nie wiecie? Most Poniatowskiego... Koniunktura. Cały ruch między wschodem a zachodem tu się skoncentruje na dłuższy czas. I tu, chciałoby się wnieść poprawkę do udzielonych zezwoleń na budowę sklepów.

— Pan sobie życzy wybudować sklep?  
— Tak jest!  
— Pieniążki? ...  
— Owszem są!

— No to ślicznie. Wszystkie sklepy w Warszawie muszą być na trzecim piętrze. Taka teraz moda. Trzecie piętro albo wcale. Parter, pierwsze i drugie pięterko — mieszkanca, na trzecim — sklepiki.

Myślicie, że byłoby mniej kawiarni w Warszawie, albo mniej domów towarowych, zakładów jubilerskich? ... Może o dwa najwyżej.

Szkoda. Przegapiliśmy okazję.

Nożyska obolałe ledwie już noszą do kwatery. Świetna pora do rozmyślań. No tak. Warszawa będzie odbudowana. To już nie ulega żadnej wątpliwości. Jeżeli ktoś myśli inaczej niech przyjedzie i popatrzy. Warszawa będzie odbudowana z woli Państwa, z poparciem całego Narodu. Trwamy przy wielkim zamierzeniu. Płacimy składki. Robimy to nawet chętnie. Ale czy to jest wszystko? Jak na nas, za mało. Pieniądze przychodzą jednym z nas łatwiej, drugim ciężiej. Wyrzec się części z nich na cele odbudowy stolicy, to ofiara, prawda, ale nie taka znów wielka by mówić o niej z nadzwyczajną dumą. Chcecie mieć powód do słusznej dumy? Posłuchajcie rady: Siadamy sobie dzisiaj w Katowicach przy kawie i powiadamy tak: Strasznie wolno idzie ta odbudowa; jedzie się do Warszawy, a tam ciągle jeszcze kurz, ciągle brak hoteli, telefonów; my byśmy to prędzej zrobili. Więc co? Poprośmy o podciąg, pojedziemy na trzy dni. Łopaty nam dadzą. Ech, jak robota ruszy. Z kopyta. Wtedy Warszawa stanie na nogi raz, dwa. Jutro wyjeżdża ekipa „Marago“, pojutrze „Astoria“ i tak po kolei wszyscy. Pieniądzmi tego nie okupimy, bo diablo mało u nas rąk do pracy. I jaki zaszczyt. A jak będzie smakował obiad. No, i, panie, własnymi rękami... Zła myśl? Nie mam pieniędzy na kawę w „Marago“. Ale jak tam taki wyjazd uchwalicie, to ja z pierwszą turą. Zadzwońcie. Choćby na cały tydzień. Tydzień najmiłszego urlopu. Za kilka dni ruszy za nami Łódź, Kraków...

Słowo „most“ słyszy się tu odmiennie we wszystkich przypadkach już w przeddzień święta. Do znudzenia trąbią na ten temat uliczne głośniki radiowe. Mówi o tym z uciechą nawet szofer, który za 40 złotych wozu „Ilemuzyną na Pragę“. Postawa tego szofera imponuje. Przecież



niejsze zadanie czeka następnego Hitlera, który będzie ich chciał od zastawionego stołu i kufła z piwem pędzić w pole. Tym bardziej rozprężą się pazury bestii.

Nie oburzonym słusznie sercem, ale chłodną głową i wzrokiem dalekim widzącym niż wczorajsza krzywda, należy sprawę rozpatrzeć. To co mówię, nie jest jakimś podstawowym dogmatem dla naszej polityki wobec Niemców i tracić będzie znaczenie przede wszystkim w miarę zmian liczbowego stosunku sił na naszą korzyść. Ale jest to punkt widzenia, którego dobrze jest z oczu nie tracić dla jak najpełniejszego poznania przeciwnika.

Na naród niemiecki powinna spaść za lata 1939—45 straszliwa kara, która by mu dobitnie okazała, że tak nie wolno. Ale niech ta kara nie polega na głoźdzeniu.

Dzikie zwierzę należy zabić — lub karmić. Inaczej wpadnie w szal.

Niezależnie od krat, którymi od bestii odgrodzić się trzeba — niezależnie od broni, którą w razie napaści potwora trzeba mieć gotową.

**P. S.** Już po napisaniu niniejszego artykułu przeczytałem numer 20 „Odry“ z felietonem J. Żylińskiej, w którym jest mowa o niemieckiej krainie baśni, mlekiem płynącej i kiełbasą rosnącej, Schlaraffenlandzie, zwanym inaczej królestwem Kurre murre. Bajka ta, subtelną swą wskazującą na naród, który ją wydał — wydaje mi się bardzo mocnym dowodem na poparcie mojej tezy.

Zagadnienie dojrzało właściwie do bardzo gruntownej, naukowej monografii z dziedziny psychologii narodów. **A. J. K.**

dzień otwarcia mostu Poniatowskiego to początek bezrobocia dla zasłużonych w usprawnianiu osobowego transportu przez Wisłę bohaterów. Ale przecież większość tych szoferów — to Warszawiacy...

Most Poniatowskiego...

W gorączce oczekiwania studia nad historią. Reportaż byłby niepełny, gdyby go nie naszpikować wycieczkami w różne dziedziny życia, choćby one z właściwym tematem nie wiele miały wspólnego. Nie trudno znaleźć materiały do krótkiej historycznej wzmianki. Szeroko rozpisuje się o tym cała prasa stołeczna. Spółdzielnia wydawnicza „Książka“ wydała skromną (choć bardzo drogą) publikację, raczej album okolicznościowy) I tak, stąd troszkę, stąd resztę, łatwo przypomnieć sobie iż jutrzejniejszy bohater dnia był budowany przez lat dziesięć (1904—1914), że już w następnym roku (5. VIII. 1915) miny saper-skie zniszczyły cztery środkowe przęsła, że odbudowa trwała lat siedem i że, to już wiemy bardzo dokładnie, w 1944 roku Niemcy wysadzili te same cztery przęsła. Odtąd już żywa kronika współczesności: 15 czerwca ubiegłego roku prof. inż. Hempel otrzymuje zlecenie BOS-u na odbudowę, 4 grudnia 1945 tragiczna katastrofa, 22 lipca 1946, o godzinie 11-tej... ale nie tak prędko. Od początku.

Ciągle jeszcze w przeddzień, z drewniaka dla pieszych, oglądam sobie to wielkie dzieło. 2.500 ton konstrukcji stalowej stroi się na jutrzejšie święto. Będzie się podobać: młodość, nadzwyczajna lekkość, świeżość... 506 metrów (w tym 300 teraz odbudowanych) przegląda się w lustrze Wisły. To lustro nie kłamie. Wielbi swym szumem oglądane dzieło blisko 600 robotników, techników i inżynierów.

Cyfry oszalałające: 3.200 ton stali, 2.800 ton drzewa, 4 000 ton betonu, 500 ton asfaltu... A most ma raczej wygląd lekkiej zabawki. Czy to naprawdę jutro po nim chodzić będzie można?

200.000 robotniko-dniówek.

24 kilometry spawań.

Koszt odbudowy 160 milionów złotych.

Most stroi się na dzień niezwykły w zwykłe akcesoria: Zieleń, flagi.

Wieczorem w pociemniałej zmrokiem wodzie wiślanej odbijają się światła latarni. Tylko jeszcze martwe to wszystko. Nie widać ludzi, na nowej jezdni nie ma tramwajów. Ale to już jutro. Jeszcze pełna trema, krótka, lipcowa noc.

Otwarcie mostu odbywa się w takim jak budowa tempie. Tu od roku nie straciło się na próżno ani jednej minuty, i tu dziś, w ciągu 35 minut 7 przemówień. Dekoracja blisko 200 wyróżniających się pracą ro-

Kazimierz Olszewski

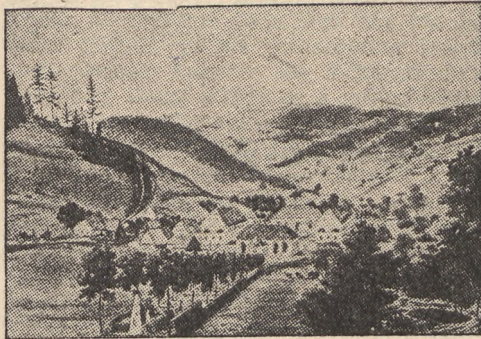
# CHOPIN NA ŚLĄSKU

## 1. KURACJA W DUSZNIKACH

Był to lipiec 1826 r. Dorastający Fryderyk Chopin, ulubieniec warszawskich salonów, przygotowywał się do ostatnich egzaminów licealnych, które ówczesnym zwyczajem miały charakter publicznych popisów. Zdolny chłopiec, oddany całą duszą muzyce, niewiele poświęcał czasu na opanowanie nudnego niekiedy licealnego programu, jednak w dniu 27 lipca 1826 r. znowu otrzymał pochwałę. Wieleletnia intensywna praca wyczerpała siły wątłego chłopca, tak że za poradą lekarzy postanowiono w okresie wakacyjnym zerwać z praktykowanym dotąd zwyczajem wyjeżdżania na wakacje do zaprzyjaźnionych z rodziną Chopina podwarszawskich ziemian i zdecydowano się na wyjazd do odległych śląskich wód. Zdaniem lekarzy, kuracja żętycowa, uzupełniona pićm wód mineralnych, mogła nie tylko przywrócić chorowitemu Fryderykowi męską tężyznę, lecz również uratować życie słabowitej i zagrożonej gruźlicą najmłodszej jego siostrze, Emilii.

Nazajutrz po odbytych popisach Fryderyk Chopin w towarzystwie matki oraz siostr: chorej Emilii i Ludwiki, mającej w uzdrowisku spełniać rolę praktycznej gospodyni ruszył w drogę. Jechali początkowo znajomym szlakiem przez Błonie, Sochaczew, Łowicz, Kutno, wkrótce jednak wjechano w zupełnie obce okolice. Kłodawa, Kalisz, Ostrów, Międzybórz, Oleśnica, to etapy na drodze do Wrocławia,

gdzie zatrzymano się nieco dłużej, gdyż Fryderyk pragnął wywiązać się z przyrzeczenia złożonego znanemu kompozytorowi a swemu przyjacielowi, który korzystając z okazji wyjazdu rodziny Chopina na Śląsk, pragnął nawiązać zerwane



Ogólny widok Dusznik w r. 1802.

już dawno nici przyjaźni łączącej go z wieloma współczesnymi śląskimi muzykami, a równocześnie zamierzał wprowadzić swego pupila w krąg wrocławskich artystów i kompozytorów. Twórca polskich oper, niedoszły teolog, Ślązak z pochodzenia, Józef Ksawery Elsner, w zimnych murach klasztoru wrocławskich dominikanów skomponował jako dziewiętnastoletni młodzieniec swój pierwszy utwór muzyczny, motet „Ave Maria“, a choć porzucił teologię dla medycyny, by wreszcie

poświęcić się całkowicie muzyce i już przeszło trzydzieści lat pracował w Polsce, nie wypierał się łączności ze Śląskiem, gdzie go znano, ceniono i uważano za wielkiego twórcę. Zmęczenie nie pozwoliło Chopinowi złożyć wizyt wszystkim adresatom. Na razie poprzestał tylko na wręczeniu listu nieznanemu bliżej muzykowi Latzel.

Z Wrocławia droga prowadziła na Wartę, Kłodzko stanowiące jeszcze przed wiekiem stolicę dawnego Hrabstwa Kłodzkiego, założonego przez Jerzego z Podiebrad. Syn mazowieckich równin całą duszą wchłaniał piękno śląskich Sudetów, co w znacznym stopniu łagodziło trudy podróży i wynagradzało niewygodę, sunącego po płaskim dnie kłodzkiej kotliny dylizansu.

W dniu 3 sierpnia 1826 r. goście z Warszawy stanęli w Dusznikach. Na razie nie było jednak mowy o zwiedzaniu położonego w dolinie Bystrzycy miasteczka, gdyż cała rodzina była znużona całonocną podróżą. Tego samego dnia zajęto pokój w nie istniejącym dziś domu, którego właścicielem był pan Bürgel, żądający za pomieszczenie 1 talara i 10 srebrnych groszy w stosunku tygodniowym. Wiadomość o przyjeździe nowych gości podała miejscowa gazeta informacyjna, pisząc w początkach sierpnia:

„Madame Chopin aus Warschau in Polen mit Herrn Sohn, Frédéric Chopin zur Kurgebrauch eingetroffen. Wohnhaft bei Herrn Bürgel“.

Następnego dnia pani Chopin w towarzystwie dzieci wyruszyła na miasto. Wszyscy ukazali się w żałobnych strojach: białe wypustki przy ciemnych szatach protestowały i na tym skrawku polskiej ziemi przeciw aresztowaniu przed niespełna rokiem członków „Towarzystwa Patriotycznego“, były negatywną oceną postępowania cara i oddanych mu ludzi. Miła grupa rodzinna zwróciła uwagę pełnym dystynkcji zachowaniem się, co licznie zgromadzona pod kolumnadą przy t. zw.

botników i inżynierów trwa najwyżej 15 minut. Punktualnie o godzinie 11-tej prezydent KRN Bierut, przecina wstęgę, która nikiem momentalnie rozdrapana na strzępy przez szczęśliwców, znajdujących się blisko. O godzinie 11-tej naburmuszone dotychczas chmurami niebo przejaśnia się, pozwalając słońcu spojrzeć na to, co się dzieje na moście. A tu dostojnicy maszerują (co za tempo!) w stronę Pragi. — 11.12 minut powrót. Pierwszym tramwajem linii 24. Rozentuzjadowane tłumy pragnęły by i ten wóz rozebrać na pamiątkę; tu już jednak następują pewne trudności i sprzeczności. Kończy się wszystko defiladą młodzieży, która niesie nad sobą tyle sztandarów w najrozmaitszych kolorach, że z płótna na ten cel przeznaczonego możnaby uszyć 6 zmian bielizny pościelowej na wszystkie łóżka szpitalne w Polsce (wartoby o tym pomyśleć).

Koniec. BOS oddał most Poniatowskiego do użytku ludności stołecznej miasta Warszawy.

Ruszyły tramwaje. „Iemużyna na Pragę przez Poniatowszcza“. Runęły tłumy pielgrzymką pieszą...

A później już codzienność...

Stoję na środku mostu. Patrę na Wisłę. Zbieram wrażenia. W rudawej, trochę spienionej, niespokojnej od dość mocnego powiewu wodzie widzę przeżyty dzień w różnych odbłaskach.

Warszawa połączona z Pragą, koniec udręki. Zysk w czasie. Oszczędność. Wygoda. To aspekt najbardziej bezpośredni.

A teraz inaczej. Pierwsze projekty odbudowy Mostu Poniatowskiego obracały się około prowizorium w drzewie. Nie było pewności czy huty śląskie podolają zadaniu wykonania na czas konstrukcji stalowej. Ale... „mierzyć siły na zamiary“. 23 sierpnia ubiegłego roku wyruszył ze Śląska pociąg wiozący gotowy do montażu pierwszy łuk mostowy. 31 sierpnia przybyła ekipa — około 130 metalowców śląskich, by pracować przy montażu do ostatniego dnia. 4 grudnia, w pamiętnej katastrofie, jako jedyna ofiara śmiertelna, zginął Ślązak śp. Józef Krupaniak. Śląsk wpłacił na fundusz odbudowy stolicy przeszło 41.000.000 złotych, nie licząc darów w naturze. 22 lipca 1946 roku Karol Tkocz, robotnik ze Śląska, jako drugi z rzędu mówca, zameldował słuchaczom: „Robotnik śląski melduje, że zdał egzamin“. A przemówienie swoje zakończył słowami: „Przyrzekamy, że nadal pomagać będziemy Warszawie“. Jest w tych kilku telegraficznie zestawionych zdaniach pewien sens Most Poniatowskiego jest dziełem rąk robotnika śląskiego i warszawskiego,

jest dziełem rąk 66-letniego majstra ze Śląska — Nowarry, młodego robotnika Jana Pisarka i wielu innych, nie tylko tych co byli na miejscu budowy, ale i tych, którzy w swoich hutach pracowali nad każdym członem gigantycznej konstrukcji. — Czy to nie mówi? Ramiona mostu wydłużają się w wyobraźni, a jego zgrabne łuki łączą Śląsk z Warszawą. Most serce. Łączy uczucia ludu Śląska dla stolicy. Filary tego duchowego mostu wbite są w dna Wisły i Odry. Po tym moście wędrują ku sobie na spotkanie myśli powstańców śląskich i powstańców warszawskich. I ten most ma konstrukcję niesłychanie subtelną, a jednocześnie prostą, mocną i wytrzymałą.

Aspekt trzeci — sercu bardzo bliski. Na uroczystości otwarcia prezydent Bierut powiedział: „Bitwa o Warszawę będzie wygrana!“. Uzasadnienie tych słów tkwi w tym, co już zostało dokonane. Most Poniatowskiego to pierwszy etap. Mamy zaufanie we własne siły, wiarę, że pokolenie zrodzone w dniach zniszczenia Warszawy ujrzy ją, w pełnoletności, piękną, godną miana stolicy wielkiego Narodu.

Odblask ostatni. Most Poniatowskiego połączy zachód ze wschodem. Odrę z Bugiem. Tak się złożyło, że oczy całej Polski przez minione dwulecie skierowane były na Ziemię Zachodnią. A przecież na lewym brzegu Wisły też jest Polska. Nie będziemy wracać do koncepcji Polski A, B, i dalszych. Mostem Poniatowskiego przejadą w podróże na wschód wszyscy ci, którzy są tam potrzebni: od przedstawicieli komisji do walki z nadużyciami do reprezentantów ministerstwa Kultury i Sztuki. Ci ostatni w pękających tezkach duże winni powieść subwencje. O ziemiach wschodnich nie można zapomnieć. One, tak jak inne, mają swoją piękną historię walki z Niemcami w czasie okupacji, one przyjeły na swe barki w okresie od lipca 1944 do stycznia 1945 roku, mimo straszliwe wyniszczenie, ciężar zaopatrzenia Armii Czerwonej, szycującej się nad Wisłą do ostatniego aktu tej wojny, one wreszcie, i to najważniejsze, zamieszkałe są przez Polaków.

\* \* \*

Na takich to impresjach schodzi czas, gdy się z nowego mostu na Wisłę popatrzy.

A tam pociąg już gotów. W kieszeni (trzeba się przyznać) kawałek wstęgi, której przecięcie otworzyło most, w sercu taka radość.

Podskakujący wagon utrudnia pisanie. Wiozę z Warszawy cenną zdobycz: głębokie przeżycie i pokrzepienie.



Pomnik Chopina w Dusznikach.

„Laune Quelle“ publiczność przychylnie komentowała.

Duszniki w tym okresie były modną miejscowością kuracyjną, odwiedzana zwłaszcza przez reprezentantów zamożniejszej części polskiego społeczeństwa. Położone 675 m nad poziomem morza, otoczone dochodzącymi do wysokości 1.100 m szczytami Sudetów, posiadają łagodny klimat i przecudną okolicę. Kilkanaście źródeł mineralnych i pokłady borowiny przekształciły górskie miasteczko w znane w świecie uzdrowisko. Wody żelaziste, zawierające wielką ilość kwasu węglowego, arsenu, jodu i siarki, dwa źródła ciepłe i kąpiele borowinowe umożliwiają do dziś leczenie wielu chorób.

Kuracjusze z Warszawy byli zachwyceni pobytem w górskim uzdrowisku.



„...gdzie tylko się obróć, to widzę piękne szczyty tych gór, które oko moje bawia, słowem to mnie najwięcej zajmują” — pisze Emilia Chopin do przyjaciółki, Ludwiki Linde.

Pragnąc podreperować nadwątlone zdrowie, Fryderyk trzyma się ściśle poleceń lekarzy. Wstaje o godz. 6-tej, zaraz też udaje się do źródła, gdzie już przebywają liczni kuracjusze, którym przygrywa zakładowa orkiestra. Chopin nie jest jednak zachwycony grą zespołu, zaś dyrygent fagocista, posiadacz osiodranego, zatabaczonego nosa stanowi niewyczerpane źródło miodziennego humoru.

Około dwóch godzin paradują chorzy po dobrze utrzymanej alei łączącej miasto z zakładem. Mniej więcej około godz. 8 kończy Chopin picie wody i wraca do przytulnego domku, gdzie spożywa śniadanie.

Czas między godziną ósmą a dwunastą poświęca Fryd. Chopin na przechadzki, które odbywa w towarzystwie rodziny oraz kurujących się w Dusznikach rodaków. W południe zasiadają wszyscy do obiadu, spożywanego poza domem. W zakładzie gra znowu muzyka, goście spacerują jak rankiem, zmieniają tylko w tej porze strój. Fryderyk po obfitym obiedzie wypija dwie szklanki wody. Troskliwa matka czuwa nad tym, by syn zaraz po kolacji udawał się na spoczynek.

Chopin żałuje, że nie może odbywać dalszych wycieczek, które go nużą. Zresztą lekarze zabraniają mu forsownych marszów. Szczytem jego marzeń jest wdrapanie się na wierzchołek pobliskiej góry, z której podobno rozciąga się precyzyjny widok na okolicę. Jednak z obawy o utratę zdrowia wycieczki tej odbyć nie może. Był jednak na górze Pustelni, gdzie osiedlił się jakiś praktyczny eremita. Chopin zachwycając wyrażane w skale stopnie, które w ilości stu kilkudziesięciu wody pionowo niemal na szczyt góry. Jednak trud się opłacał: z Pustelni rozciągał się naprawdę niezwykły widok. Miodziennic zasmakował w wycieczkach do tego stopnia, że niechętnie wracał do pensjonatu, chociaż w niektórych wypadkach wędruje po skałach na czworakach.

W wolnych chwilach próbował Frydek uczyć po polsku dwóch synów sąsiadki-Niemki, która przybyła na kurację z Wrocławia. Pedagogiczne zabiegi młodego nauczyciela nie dają niestety pozytywnego rezultatu, bawią jednak jego najbliższe otoczenie, tym bardziej, że nie opuszcza go wrodzony zmysł humoru.

Życie beztrudne, niezwykle bogactwo natury, liczne towarzystwo, wyraźna poprawa zdrowia nie wynagradzają jednak Chopinowi braku dobrego instrumentu, na co skarży się w liście do Elsnera. Na próżno przebiega Duszniki, poszukując fortepianu, na którym mógłby od czasu do czasu poćwiczyć. Niestety mała mieścina posiada tylko stare, rozstrojone pudła, które zniechęcają muzyka do dalszych poszukiwań. W takich momentach zjawia się tęsknota za Warszawą, cichym mieszkaniem rodziców, a może i hoidami zachwyconej publiczności.

Ale jeszcze w uzdrowisku zagrał Chopin na zym fortepianie. Jedną z kuracjuszek, biedna Niemka, umarła zostawiając bez zaopatrzenia dwoje dzieci i służącą. Rodzina zmarłej nie posiadała pieniędzy nawet na pogrzebanie zwłok. Chopin wzruszony niedolą sierot postanowił dać koncert na beneficj dzieci. W dniu 26 sierpnia 1826 r. wystąpił młody wirtuoz publicznie. Według niesprawdzonych wieści, artysta odtworzył w czasie koncertu marsza żałobnego oraz kilka etud, miała również wziąć w nim udział jakaś arystokratka. Publiczność zjawiała się tłumnie w obszernej sali domu zdrojowego, a całkowity dochód w wysokości 74 talarów wręczono sierotom. Z czasem w zamienionym na teatr i do dziś istniejącym gmachu umieszczono tablicę z napisem:

„In diesem Saale gab Friedrich Chopin am 26 August 1826 sein erstes öffentliches Konzert zum besten zweier Waisen“.

Pomylili się fundatorowie tablicy, twierdząc, że dusznicki koncert to pierwsze publiczne wystąpienie Chopina, który przed wyjazdem na kurację już kilkakrotnie dał się poznać warszawskiej publiczności.

Legenda, ale tylko legenda, związała wystąpienie Chopina z pierwszą jakoby miłością wielkiego artysty. Codziennie rano u źródła podawała Chopinowi wodę piękna Libusza, córka czeskiego robotnika fabrycznego. Między młodymi ludźmi nawiązała się nić sympatii. Chopin był podobno częstym gościem osieroconej

przez matkę rodziny wybranki. Pani Chopin niechętnie widziała to zbliżenie. Razu pewnego doniesiono Fryderykowi, że blok żelazny pozbawił życia ojca dziewczyny. Wtedy artysta postanowił dać koncert publiczny, a dochód z niego przeznaczyć dla sierot. Wkrótce potem Libusza wywędrowała do pobliskich Czech, zaś pozostałymi sierotami zajęła się gmina.

11 września 1826 r. rodzina opuściła Duszniki. Wracano tą samą drogą zatrzymując się we Wrocławiu, który wywarł na chłopcu raczej niemiłe wrażenie. Zresztą powodem zatrzymania się Chopina w tym mieście nie była chęć podziwiania zabytkowej architektury stolicy Śląska: przecież Fryderyk nie wręczył jeszcze adresatom listów, o co usilnie prosił go Elsner.

Wizyta u przyjaciela Elsnera, Józefa Ignacego Schnabel, kompozytora kościelnego, utalentowanego skrzypka, zdolnego pedagoga, kapelmistrza orkiestry katedralnej i znanego na Śląsku dyrygenta, urozmaiconą grą Chopina, nie pozostała bez wpływu na dalszy rozwój młodego muzyka. Wytrawny artysta poznał się na talencie wirtuoza i wzmógł w chłopcu wiarę we własne siły.

W kilka dni później Chopin znalazł się w Warszawie, gdzie zapisał się na pierwszy kurs Szkoły Głównej Muzyki. Odtąd przez kilka lat ma pracować pod bezpośrednim kierunkiem Elsnera.

W Dusznikach nie zapomniano jednak o koncercie Chopina. Pamiętali o nim zwłaszcza często tu przebywający Polacy, spośród których Wiktor Magnus z Warszawy powziął w 1896 r. myśl upamiętnienia tego zdarzenia przez ufundowanie kamienia pamiątkowego. Ówczesny burmistrz i kronikarz miasta kapitan Paul Dengler odniósł się przychylnie do projektu Polaka. Miasto chętnie zgodziło się na wystawienie obeliska na placu między „Zimnym Źródłem” a teatrem. W rok później w wyznaczonym miejscu wrósł w ziemię blok z niebieskiego sjenitu wysokości 2 metrów o wadze 1.500 kg, ozdobiony brązową płaskorzeźbą dłuta artysty-rzeźbiarza Stanisława Romana Lewandowskiego. Medalion wykonano według portretu dostarczonego przez ks. Marcelinę Czartoryską, zaś na tablicy zamieszczono okolicznościowy łaciński napis.

19 czerwca 1897 r. odbyło się odsłonięcie i przekazanie pomnika miastu. Uroczystość uświetnili obecnością liczni kuracjusze różnych narodowości, przedstawiciele miasta, zjawili się również Wiktor Magnus. Orkiestra zdrojowa odegrała „Poloneza” A-dur Chopina, a gdy zamilkła, zabrał głos Paul Dengler. Burmistrz mówił o wielkości Chopina, o jego muzycznym ge-

niuszu i światowej sławie. „Był tym, który swe utwory przeplatał szlachetnymi rytmami, melodią i pieśniami polskiego narodu, a tym samym uczynił je własnością całego świata”. Nie zapomniał również wspomnieć o koncercie na rzecz sierot. „I właśnie podczas jego tutaj pobytu zdarzył się wypadek, który miał wielkie znaczenie w życiu artysty i był punktem zwrotnym w jego karierze” — mówił burmistrz, wierząc może, że był to pierwszy publiczny występ Chopina. Nawiązując do inicjatywy Wiktora Magnusa, Dengler zaznaczył, że miasto zgodziło się na wystawienie pamiątkowego bloku, by każdy przechodzień spojrzawszy na podobiznę Chopina, mógł pomyśleć:

„To miejsce jest poświęcone, tu niegdyś wystąpił wielki geniusz“.

Wiktor Magnus przypomniał zebranym ziomkom, że tu właśnie Chopin w 1826 r. dał koncert na rzecz niemieckiej rodziny.

„Postawiony obecnie pomnik służy ku upamiętnieniu artystycznej i humanitarnej działalności naszego ziomka” — mówił wrzuszony. Odsłonięcie pomnika nastąpiło przy dźwiękach fanfar, a gdy te przebrzmiały, burmistrz Dengler złożył u stóp pomnika kosztowny wieniec z biało-żółtą wstęgą miasta i przemówił ponownie:

„Teraz, gdy opadła zasłona, składam w imieniu tutejszego Zarządu Miasta ten wieniec z jego barwami, z wyrazami najserdeczniejszego podziękowania dla wielkodusznego fundatora tego pomnika. Życzeniem naszym jest pielęgnować go, aby nam zawsze przypominał, że ten symbol pamiątkowy dla uczczenia wielkiego mistrza tonów zdobi nie tylko ofiarodawcę, ale także i nas, którzy ten pomnik przyjmujemy“.

Publiczność żywo oklaskiwała przemówienie burmistrza, orkiestra zaś zagrała „Mazurka” C-dur Chopina.

Pomnik istnieje do dziś i znajduje się pod specjalną opieką Zarządu Miejskiego oraz administracji Państwowego Uzdrowiska w Dusznikach-Zdroju.

#### DRUGI POBYT WE WROCŁAWIU

Nie przypuszczał Chopin, że po kilku latach wypadnie mu odwiedzić znowu starą stolicę Śląska, w której dopiero wówczas znalazł nieco więcej rzeczy godnych widzenia. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Po powrocie z Dusznik Chopin wstąpił na pierwszy kurs warszawskiej „Szkoły Głównej Muzyki”, czyniąc zadziwiające postępy w naukach. Szczególnie jego zamaścił jednak wielki cios: ukochana siostra Emilia, druga nadzieja rodziny Chopinów, zgasła w dniu 10 kwietnia 1827 r., licząc

zaledwie 14 lat życia. Rozpacz rodziny nie miała granic. Czas jednak zatarł przykre przeżycia, Chopin zaś artystycznie rozwijał się i dojrzał bardzo szybko, co było dobrym prognostykiem na przyszłość i wywołało zachwyt pocziwego pedagoga Elsnera. Nic więc dziwnego, że w 1829 roku, gdy Chopin opuszczał mury Szkoły, zachwycony uczniem staruszek zapisał w dzienniku przy nazwisku ulubieńca krótką uwagę: „Szczególna zdadność, geniusz muzyczny“.

Światłe otoczenie Chopina zdawało sobie jednak sprawę z faktu, że Fryderyk nie może poprzestać na zdobytej w kraju muzycznej wiedzy. Przed oczyma młodzieńca oraz jego przyjaciół zjawiała się wizja kraju muzyki, Włoch, mówiono również o Paryżu, wspomniano o Londynie. Na razie jednak zdecydowano, że Chopin odbędzie tournée artystyczne po Niemczech, Czechach, Austrii. A zatem w sposób intensywny już w lecie 1830 r. zaczęto czynić przygotowania do wyjazdu.

Otoczenie nie rokowało Chopinowi długiego życia. Jak świadczą współcześni, artysta opuszczając Warszawę sprawiał wrażenie człowieka chorego. Mimo usilnych starań ze strony rodziny, by oszczędzać jego cenne zdrowie, młodzieniec był szczupły, delikatny, zaś zapadnięte policzki nasuwały myśl, że młody człowiek cierpi na nieuleczalną chorobę płuc.

11 października 1830 r. Chopin wystąpił z pożegnalnym koncertem, na którym zjawilo się ponad 700 osób. Szczere brawa miłośników jego talentu były nagrodą za wykonany po raz pierwszy publicznie „Koncert” E-moll oraz złagodziły przykre uczucie zawodu, jakiego doznał ze strony warszawian: nie wszystkie miejsca były wysprzedane. Miejscowa prasa zlekceważyła również koncert. Trudno dziś odpowiedzieć na pytanie, dlaczego współczesne gazety milczały niemal zupełnie na temat wspomnianego koncertu, choć prócz Chopina występowały w nim nawiązańsze artystki, a wśród nich ukochana artysty, Konstancja Gładkowska. Pożegnania dwójga ludzi zakończyło się wymianą pierścionków. Konstancja otrzymała od Fryderyka gustowną staroświecką obrączkę z cieniutkim drucikiem z oprawnym w srebro brylantowym oczkiem. Żegnając się nie przypuszczali nawet, że już się więcej w życiu nie zobaczą.

W przeddzień wyjazdu, tj. 1 listopada 1830 r., przyjaciele i wielbiciel muzyki urządzili w mieszkaniu Reinschmidta pożegnalną ucztę, w której między innymi wzięli udział dwaj nauczyciele Chopina: Józef Elsner i Wojciech Żywny. Przyjaciele ofiarowali mu na pamiątkę srebrny puchar wypełniony po brzegi rodzinną ziemią, którą po latach w dalekim Paryżu posypano zastygłe zwłoki wielkiego muzyka. Wrzuszony artysta dziękował zebranym za dar, a rozplakawszy się jak dziecko, długo improwizował. Muzyką i śpiewem zakończono pożegnalny wieczór.

Nazajutrz Chopin pożegnawszy się z rodzicami i siostrami, zaopatrzonej w listy polecające do różnych, cieszących się europejską sławą muzyków, wsiadł do dyliżansu. Był wtorek 26 listopada. Wehikuł posuwał się wolno po warszawskich wybojach. Za rogatką wolską, w pobliżu oberży, zdziwiony Chopin spostrzegł, że dyliżans się zatrzymał. Z gospody niespodziewanie wysunęła się grupka kolegów z klasy kompozycji w konserwatorium. Artystę wprowadzono tryumfalnie do tzy, gdzie już czekał Józef Elsner. Wkrótce chór odśpiewał przed zdumionym Chopinem kantatę, specjalnie skomponowaną na tę uroczystość przez Elsnera.

Droga wiodła na Kalisz, Wrocław, Drezno, Pragę. W Kaliszu, gdzie zatrzymał się u dobrego znajomego rodziców dr. Helbicha, miał Chopin spotkać się z przyjacielem Tytusem Wojciechowskim, z którym zamierzał odbyć dalszą podróż. Gospodarz domu oraz goszczący u niego kaliszanie namawiali artystę, by wystąpił w tym mieście z koncertem, Chopin jednak wymawiał się brakiem czasu oraz nie-wielkim zespołem orkiestralnym, jaki można było skompletować z miejscowych muzyków. Nie pomogła natarczywość kaliskich melomanów. Chopin dał się namówić do odegrania kilku utworów w prywatnych mieszkaniach. Pobyt w Kaliszu nie trwał jednak długo, bowiem już w piątek wyruszył Chopin w towarzystwie przybyłego do miasta Tytusa Wojciechowskiego do Wrocławia, dokąd miał ich zawieźć chłop wynajętym za 12 talarów wozem.

Już w sobotę o godzinie szóstej wieczorem minęli rogatki Wrocławia i stanęli w

## Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

### Wydawnictwa nutowe

#### BIBLIOTEKA AMATORSKICH ZESPOŁÓW MUZYCZNYCH

- RACZKOWSKI WŁADYSŁAW: Przejdzem Wisłę, przejdziem Wartę... Zbiór pieśni okolicznościowych na chór 1, 2, 3 lub 4-ro głosowy z akompaniamentem fortepianu, str. 24 . . . . . cena 90,— zł  
 BACEWICZÓWNA GRAŻYNA: Ze starej muzyki — wybór utworów autorów z XVIII w. na mały zespół orkiestrowy (piano conductor i głosy orkiestrowe), str. 40 . . . . . cena 200,— zł  
 RUDZIŃSKI WITOLD: Na serdeczną nutę (suita na mały zespół orkiestrowy piano conductor), str. 20 . . . . . cena 125,— zł  
 PANUFNIK WITOLD: Marsz Jaworzyński na mały zespół orkiestrowy (piano-conductor i głosy), str. 24 . . . . . cena 140,— zł  
 W DRUKU: Szeligowski Tadeusz — Sładajcie wszyscy wokolo z nami, suita na chór. Sikorski Kazimierz — Uwertura. Sikorski Kazimierz — Obrazki wiejskie. Bacewiczówna Grażyna — Pod Strzechą (na mały zespół orkiestrowy).

W PRZYGOTOWANIU: utwory Kasserna, Kisielewskiego, Lutosławskiego, Mycielskiego, Palestra, Wiechowicza, Wiłkomirskiego i innych.

#### BIBLIOTEKA SZKOŁY UMUZYKALNIAJĄCEJ (Wydawnictwa pedagog.)

- Wybór łatwych utworów klasycznych dla początkujących pianistów — opracowała EMMA ALTBURG, str. 38 . . . . . cena 120,— zł  
 Łatwe utwory na cztery ręce — Diabelli, Weber, Beethoven i inni) — opracowały EMMA ALTBURG i ZOFIA ROMASZKOWA, str. 58, cena 250,— zł  
 BROMIRSKA ANNA — Szkoła na harmonii (akordeon), str. 52, cena 250,— zł  
 MARKIEWICZÓWNA WŁADYSŁAWA — Do-re-mi-fa-sol. Nowoczesna szkoła na fortepian, str. 70 . . . . . cena 230,— zł  
 POPLAWSKI MARCELI — Łatwe utwory na skrzypce z akompaniamentem fortepianu (I-sza pozycja), str. 40 . . . . . cena 190,— zł  
 Zbiór etud dla pierwszych dwóch lat nauki gry na fortepianie, opracowała ZOFIA ROMASZKOWA, str. 48 . . . . . cena 140,— zł  
 W DRUKU: Cukierówna Maria — Pieśni dla dzieci (jednogłosowe).  
 W PRZYGOTOWANIU: Wybór etud skrzypcowych dla początkujących, opracowała Irena Dubiska. 313 wprawek na fortepian — opracowały Emma Altberg i Zofia Romaszkowa. Szkoła czytania nut — opacowali Jan Hofmann i Adam Rieger.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH  
 SKŁAD GŁÓWNY — WSZYSTKIE ODDZIAŁY „CZYTELNIKA”



spalonej do fundamentów w czasie ostatnich działań wojennych gospodzie pod „Złotą Gęsią” przy ówczesnej Junkernstrasse. Młodzi ludzie, jakkolwiek bardzo zdrożeni, udali się natychmiast do miejscowego teatru, gdzie wystawiano właśnie jedną z trzech dramatycznych baśni Ferdynanda Raimunda p. t. „Der Alpenkönig und der Menschenfeind”. Chopin z nie małym zdziwieniem słuchał zachwyty publiczności nad dekoracjami, które on sam obdarzył mianem barażo przeciętnych, aktorów natomiast ocenił jako dość dobrych, czego nie mógł powiedzieć o śpiewakach.

W niedzielę, dążąc na nabożeństwo do katedry, mógł Chopin zapoznać się bliżej z architekturą i życiem miasta. Wrocław, miasto już wówczas prawie dziewięćdziesięcioletnie, ruchliwe i zdradzające tendencję do dalszego rozwoju, posiadające wiele zabytków z okresu średniowiecza, ożywione gwarem uniwersyteckiej młodzieży, podobało się Chopinowi o wiele więcej niż przed czterema laty. W katedrze, po skończonym nabożeństwie, zetknął się z Józefem Ignacym Schnabelem, tym samym, przed którym popisywał się grą we wrześniu 1826 r. Wrocławski kompozytor, pamiętający dobrze grę młodzieńca, zaprosił przyjaciół na niedzielą-kową próbę kwartetu, który przygotowywał się do wieczornego występu w miejscowym resursie. Obaj przyjęli zaproszenie, przyrzekając zjawić się na porannej próbie.

Tego samego dnia wieczorem byli znowu w teatrze, gdzie dawano operę mieszczańską Daniela Franciszka Auber p. t. „Mularz i ślusarz”. Chopin, którego i tak już niezwykły gust artystyczny wykształciły zagraniczne podróże, orzekł, że opera była wystawiona źle.

W poniedziałek rano zjawił się Chopin w towarzystwie przyjaciela w resursie, gdzie czekali już uprzedzeni o wizycie muzycy. Schnabel zamierzał nakłonić młodego kompozytora do publicznego występu, lecz Chopin bronił się jak umiał. Przecież już od kilku tygodni nie grał na fortepianie... Jednak na usilne prośby przyjaciela Elsnera zasiadł do fortepianu, by zaimprovizować starym muzykowi. Wśród obecnych na próbie Niemców powstało poruszenie. Zdziwieni przysłuchiwali się grze młodego artysty. Jeden z amatorów, referendariusz Hellwig, mający otworzyć „Koncert” Es-dur Ignacego Moschelesa, oświadczył, że nie może występować w obecności tak znakomitego pianisty i prosił Chopina o zastąpienie go wieczorem przy fortepianie. Obecni poparli prośbę kolegi, a młody Schnabel ofiarował swą pomoc w wyszukaniu nut. Na próbie wrocławscy miłośnicy muzyki rozmaicie komentowali grę Chopina.

— Was für einen leichten Anschlag hat er! — szeptano dokoła, Wojciechowski zaś słyszał inne, sceptycznie wypowiedane uwagi:

— Dieser junge Mann kann allerdings spielen, aber nicht komponieren!

Chopin wystąpił wieczorem w resursie odtwarzając „Romans” i „Rondo” ze swego drugiego „Koncertu”. Poruszenia grą publiczną, zmuszała go do bisowania. Podniecony improwizował na temat komicznej opery Auber'a „La muette de Portici”. Referendariusz Hellwig odśpiewał arię Figara z „Cyrulika sewilskiego”. Chopin ocenił jego śpiew jako średni.

Koncert zakończono uwerturą, później zaś rozpoczęły się ogólne tańce, w których przyjaciele nie brali udziału.

Po koncercie Schnabel zaprosił Chopina na kolację, muzyk jednak przyjął tylko filiżankę bulionu. Wkrótce rozpoczęła się ogólna rozmowa na temat jego gry. Chopin odniósł wrażenie, że Niemcy nie pojęli istoty jego muzyki. Nie umieli również zająć postawy wobec estetycznej wartości jego kompozycji. Zresztą Chopin wyczuł w ich słowach nieszczerłość. Wprawdzie wszyscy obecni nie szczędzili mu ciepłych słów, lecz artysta czuł, że tylko jeden Schnabel cieszył się z jego sukcesu, wyrażając swą radość przez branie go pod brodę i głośkanie po twarzy. Jednak wśród publiczności znalazł się jeden starszy Niemiec, który podkreślał w grze Chopina niezwykłość niespotykanej dotychczas formy.

W tej samej sali poznał Chopin kilku znanych miejscowych muzyków, przede wszystkim Adolfa Fryderyka Hesse, wówczas drugiego organistę przy kościele św. Elżbiety, oraz dyrygenta symfonicznych koncertów wrocławskiej orkiestry teatralnej, z czasem podziwianego w Europie

wirtuoza organowego i kompozytora. Słuchał gry Chopina znany we Wrocławiu organista i kompozytor muzyki kościelnej Ernest Köhler i jakiś skrzypek arystokrata. Z uprzednio poznanych osób kręcił się wśród publiczności poczciwy kupiec Scharff, zdziwiony, że człowiek, dla którego z trudem zdobył bilet na dzisiejszy koncert, jest przedmiotem podziwu nieskorych do pochwał Niemców.

W czasie towarzyskiej rozmowy wrocławianie chętnie mówili o Józefie Elsnerze. Chopin dziwił się, że na Śląsku najwięcej ceniono jego „Wariacje” na orkiestrę z „Echem”, gdy jego zdaniem najlepszym dziełem, jakie wyszło spod pióra tego kompozytora, była „Msza koronacyjna”.

## Protokoły powstańców Warszawy

**Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r. Opracowali: Edward Serwański i Irena Trawińska, przedmowa poprzedził Zygmunt Wojciechowski; Poznań 1946, Wydawnictwo Instytutu Zachodniego.**

Coraz częściej odzywają się głosy niemieckie, usiłujące wmówić światu, że winę za wszelkie okrucieństwa w stosunku do narodów, które czasowo znalazły się pod niemiecką okupacją, ponosi jedynie Hitler i nieliczna garstka jego zwolenników, zaś Niemcy, ogół Niemców działał jedynie pod terrorem — a zatem jest niewinny. Wniosek dalszy, że obecnie Niemcom dzieje się krzywda, że nie jest rzeczą sprawiedliwą stosowanie sankcji karnych wobec niemieckiego narodu. Dlatego książka, którą nie tylko powinien przeczytać każdy Polak, ale — nie waham się powiedzieć — książka, którą jak najspieszniej należy przełożyć na obce języki: rosyjski, angielski, francuski, także niemiecki, jest wydana ostatnio przez Instytut Zachodni w Poznaniu książka o zbrodni niemieckiej w Warszawie w roku 1944.

W przedmowie wyjaśnia pierwszorzędny znanca stosunków polsko-niemieckich prof. Zygmunt Wojciechowski, za co zapłaciła Warszawa rzezią ludności, mściwym zniszczeniem wszelkiego mienia materialnego i kulturalnego, wypaleniem lub wysadzeniem w powietrze domów i budynków, zamienieniem miasta w jedno wielkie rumowisko: zapłaciła za z a w ó d, jaki sprawiło Niemcom powstanie w roku 1944. Niemcy marzyli o konflikcie anglosasko-radzieckim i myśli o nim uchwycili się, jak ostatniej deski ratunku, wobec zbliżającej się nieuchronnie ich katastrofy. W konflikcie tym rolę zrotną miała wedle ich planów, odegrać Polska, jako baza wypadowa przeciw Związkowi Radzieckiemu. Wybuch powstania przeciw Niemcom obrócił w niwecz te plany. I stąd ta wściekłość, z jaką Niemcy rzucili się na Warszawę. Jak bardzo Niemcom zależało na poróżnieniu Polaków ze Związkiem Radzieckim dowodzi fakt, że gdy nie doszło do uderzenia wojsk radzieckich na Warszawę, Niemcy podjęli na nowo próbę porozumienia z powstańcami, ofiarując im „wersalskie” warunki kapitulacji w nadziei na wygranie ich przeciw Sowietom. Z aktów procesu w Norymberdze wynika niezbicie, że odmowna odpowiedź dowództwa powstańców (już po kapitulacji Warszawy) na niemieckie propozycje wywołała jako zemstę ze strony niemieckiej rozkaz zrównania z ziemią stolicy Polski; wiemy, że rozkaz ten wykonano; Warszawa legła w gruzy, ale obroniono rzecz znacznie ważniejszą, obroniono solidarność aliancką przeciw hitlerowskiemu wrogowi.

Na dalszych stronach opowiadają krótko organizatorzy akcji dokumentacyjnej o swej pracy. Dowiadujemy się, że zrodziła się ona spontanicznie, od spisania własnych przeżyć, od spisania owej skargi „płonącej staruszki z ulicy Spiskiej”, ale szybko przemieniła się w planową sieć placówek dokumentacyjnych w miejscowościach, przez które przepędzano ludność z płonącej Warszawy. Objęto przede wszystkim Pruszków, dalej Brwinów, Milanówek, Podkowie Leśną itd., aż po Piotrków, Częstochowę i Kraków. Protokoły nie mają charakteru urzędowych dokumentów w sensie prawnym, brak im najczęściej tak zasadniczych elementów, jak własnoręcznych podpisów, a nawet podania nazwisk, część ich nawet była zapisana bez wiedzy opowiadających swe przeżycia. Te niewątpliwie braki, wytlu-

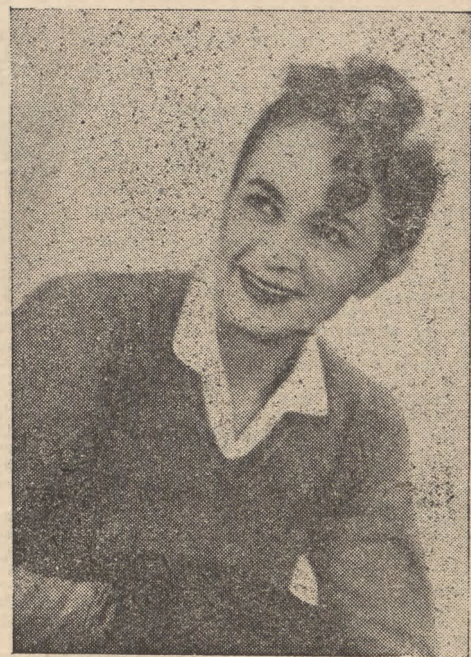
maczone aż nadto grozą niebezpieczeństwa wśród ciągłych niemieckich rewizyj i łapanek, zwłaszcza w okolicach podwarszawskich, wynagradza z nadwyżką przejmująca bezpośrednio przeżyć zeznających; wyszli oni przecież dopiero co z piekła płonącej Warszawy, w poszarpanym odzieniu, ranni, głodni, nieraz na wpół żywi. Jako świadectwo, jako źródło historyczne, protokoły są materiałem wagi i wartości pierwszorzędnej, wprost niezastąpionej.

Wydawcy uporządkowali materiał zawierający przeszło 100 protokołów wedle poszczególnych dzielnic (wzgl. grup dzielnic), poprzedzając każdą króciutkim objaśnieniem historycznym, dotyczącym przebiegu walk w danej dzielnicy. Po kolei opowiadają naoczni świadkowie, nieraz cudem ocaleni, o masowej rzezi ludności Woli, o straszliwych przejściach kobiet na słynnym „Zieleniaku”, o walkach na Mokotowie, Czerniakowie, Żoliborzu, a zwłaszcza w Śródmieściu. O używaniu dzieci i kobiet polskich przez Niemców jako osłon czołgów. O masowym zabijaniu ciężko rannych w szpitalach, paleniu ludzi żywcem, dzikich gwałtach na chorych kobietach w szpitalu Dzieciątka Jezus. Wreszcie Pruszków — epilog męczeństwa ludu Warszawy, miejsce udręki 650.000 warszawian. Cynizm władz niemieckich, ogłaszających w prasie wezwanie do pomocy dla mieszkańców obozu w Pruszkowie, a dręczących zamkniętą tam ludność i utrudniających pomoc polskiego społeczeństwa.

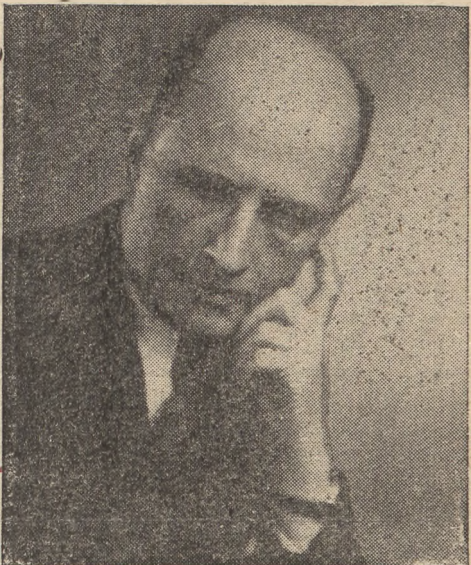
Zamyka książkę seria zdjęć fotograficznych niemieckich, wyjętych z przypadkiem znalezionej w Lesznie albumu członka niemieckiej jednostki wysadzającej budynki Warszawy w powietrze, dyplomowanego architekta Alfreda Mensebacha. Pedantyczny Niemiec utrwalił na blonie fotograficznej przede wszystkim swoją własną podobiznę oraz podobizny swych kolegów ze „Sprengkommando” na tle ruin Warszawy, dalej trupy rozstrzelanych partyzantów i wziętych w niewolę „bandytów”; na następnych zdjęciach widzimy jednostkę wysadzającą przy „pracy” (m. in. w zamku i halach Mirowskich) — oraz nadawanie jej członkom orderów w nagrodę! Sześć następnych zdjęć przedstawia wypędzanie ludności polskiej z Warszawy: widać wynędzniałe postacie dzieci, staruszki wlokące się o kiju, młode kobiety z wyrazem obłędu w umęczonych oczach. I jako ostatnie zdjęcie, jako synteza niemieckiej „akcji pacyfikacyjnej” — kupa dymiących zgliszcz, „Scheiterhaufen”...

Niewiele ponad sto protokołów — a tyle krwi, tyle męki. Niewiele ponad sto protokołów, a przecież przez to co w nich zapisano, przeszły setki tysięcy, przeszła cała ludność półtoramilionowej Warszawy. A przecież przez gorsze jeszcze przeszli ci i te, których ciała legły setkami tysięcy pod gruzami stolicy. I teraz pytanie: Ilu musiało być katów, ilu musiało być niemieckich zbrodniarzy, aby dokonać zbrodni w tak niespotykanych w dziejach ludzkości rozmiarach. Czy wszyscy oni działali pod przymusem? Czy terror gestapo zmuszał ich do dobijania rannych, mordowania dzieci, hańbienia kobiet? Czy terror gestapo zmusił poczciwie wyglądających członków „Sprengkommando” do rozradowanych uśmiechów, gdy patrzyli na wylatujące w powietrze gmachy Warszawy, jak to widać na zdjęciach? Czy terror hitlerowski zmusił niemieckich urzędników cywilnych, np. archiwalnych do wskazania miejsca przywalonych gruzem zbiorów archiwalnych polskich i asy-

## Nasi artyści



Jadwiga Zmijewska — artystka Teatru im. St. Wespiańskiego w Katowicach, ma za sobą szereg udanych kreacji, z których najlepszymi były m. in.: Pani Alving w „Upiorach” Ibsena, George Sand w „Lecie w Nohant” Iwaszkiewicza i Klitemnestra w „Ifigenii” Eurypidesa.



Alfred Szymański — artysta Teatru im. St. Wespiańskiego w Katowicach, przedstawił się publiczności śląskiej jako Gospodarz w „Weselu”. Prócz tego grał z powodzeniem wiele postaci „klasycznych” jak króla Edypa, Antoniusza, Cyda, Zygmunta Augusta i Wojewodę (w „Mazepie”).



Justyna Karpińska — wystąpiła gościnnie w Katowicach jako doskonała Roxy. Poprzednio grała we Lwowie i Łodzi. Z ważniejszych kreacji artystycznych zasługują na wymienienie: Zulma w „Ostrożnie, świeżo malowane”, Zosia w „Weselu” Doryna w „Świętoszku” i Kropeczka w „Świerszczu za kominem”. Następny sezon spędzi w Teatrze Polskim w Warszawie. Żałujemy, że nie zdołały jej pozyskać na stałe Katowice.

stowania przy ich spaleniu w szereg tygodni po kapitulacji powstańców? Czy winni ponieśli karę? I co uczyniono uo-tąd i co zamierza się uczynić, aby za lat dwadzieścia nie powtórzył się nowy najazd niemiecki na nasz kraj i nowa martyrologia polskiego ludu?

Takie oto myśli nasuwają się po przejrzaniu tej książki, którą niewątpliwie przeczyta każdy. Józef Mitkowski



## Glossy i notatki

### CO STAŁO SIĘ Z BISKUPINEM?

Sprawa słynnego przed wojną wykopaliska słowiańskiego w Biskupinie, tak głośna w świecie naukowym i tak zasadnicza dla dziejów prasłowiańskich i prapolskich staje się dzisiaj znowu aktualna. Biskupin na tle naszego powrotu na ziemię słowiańskich ojców nabiera obecnie szczególnej wymowy. To też dobrze się stało, że podjęto na nowo prace badawcze przy tej osadzie wczesnohistorycznej. O losach Biskupina w czasie wojny pisze w „Życiu szkoły”, miesięczniku, wychodzącym w Toruniu, nauczyciel p. Schweitzer, który swego czasu pierwszy zwrócił uwagę prof. Kostrzewskiemu na to ciekawe miejsce: „Przed wybuchem wojny zabezpieczył Instytut Prehistoryczny U. P., który prace nad odkopaniem Biskupina prowadził, teren wykopaliskowy należycie. Niemcy zainteresowali się Biskupinem. W ciągu trzech okresów odkopali rudy ołowiu, a teren odkryty przez nas zasypali piaskiem — prawdopodobnie dlatego, aby zatrzeć ślady prac polskich. Zniszczyli także zrekonstruowaną część grodu, wszelkie plany, profile, zdjęcia, rysunki i cały sprzęt techniczny. Nie zdolali jednak zatrzeć prawdy, że w czasach, gdy szczyty germańskie prowadziły żywot koczowniczy i rabunkowy, Słowianie żyli zyciem osiadłym, mieli pomyslowo rozplanowane pomieszczenia mieszkalne i wysoką kulturę materialną.

Instytut Prehistoryczny U. P. wznowił z początkiem czerwca br. prace nad odkopaniem reszty osady. Zwiędzać będzie można Biskupin już w drugiej połowie czerwca. Prace wykopaliskowe potrwać do jesieni.

Do Biskupina trzeba kierować jak największą ilość wycieczek szkolnych i także trzeba go pokazać szerokiej zagranicy.

### CZYTAMY PRASĘ

Orientując się po ostatnim, 14 numerze dwutygodnika „Życie Gospodarcze”, czasopismo to uległo pewnej ewolucji w kierunku poszerzenia nie tylko tematyki, ale i zespołu współpracowników. Redakcja tego chyba, najpoważniejszego periodyku gospodarczego w Polsce (znamiennie, że wychodzącego w Katowicach), otwiera szeroko łamy dla wszystkich, chcących brać udział w realizowaniu rządowej koncepcji t. zw. nowego systemu ustroju gospodarczego Polski. Choć jesteśmy piśmie literacko-społecznym chętnie zajmujemy się tymi sprawami. O nowym ustroju gospodarczym Polski mówią często propagandziści i często się o tym czyta w prasie codziennej. Szkoda tedy, że nie dowiadujemy się o tym nowym ustroju gospodarczym, którego twórcy „mogą przejść do historii ekonomicznej świata” — jak czytamy w pewnym artykule cytowanego pisma — że nie dowiadujemy się o tym nowego zasadniczego i pogłębionego. Także poza sło-ganowe ogólniki nie wychodzi niestety czołowy artykuł „Życia Gospodarczego” Eugeniusza Szyra, a zatytułowany „Na drodze przemian gospodarczych”. Było by pożądanym nareszcie zagadnieniu zmian strukturalnych naszej gospodarki poświęcić fachową, wyczerpującą pracę. W tym samym numerze „Życia Gospodarczego” znajdujemy ciekawy artykuł Wład. Markowskiego, stawiający z rozmachem „Problemy współpracy Polski w dziedzinie komunikacji międzynarodowej”. Z problemów tych zwracamy szczególną uwagę na komunikację wodną w Polsce, gdyż w niej widzi autor słuszną przyszłość naszej gospodarki. Ujawnia się przy tym ogromne znaczenie Odry:

„Odra, połączona kanałami ze Sprewą i stąd dalej na Zachód, połączona kanałami z Wisłą, a stąd biegiem Buga dalej na wschód poprzez Kanał Królewski, Prypeć i Dniepr, przy odpowiednim rozbudowaniu tych dróg wodnych i współpracy z ZSRR — stwarza możliwości dla masowych przewozów najtańszą drogą wodną, towarów wprost ze źródeł ich produkcji (kopalnie ślaskie, żyzne pola Ukrainy, leśne obszary Wschodu) lub z portu szczecińskiego (ruda ze Szwecji), a nawet jeszcze dalej z Zachodu. Masowy obrót towarowy między Wschodem a Zachodem i na odwrót przez Polskę i z Polską wzdłuż Odry, do Polski jej systematami wodnymi stanowi bardzo poważny problem współpracy Polski z jej sąsiadami na Wschodzie i Zachodzie. — Lecz nie tylko w kierunku wschód — zachód otwierają się możliwości współpracy komunikacyjnej dla Polski. Odra otwiera te możliwości też i w kierunku południe — północ i na odwrót. Już dzisiaj stanowi ona ważną drogę dla masowych przewozów ze Śląska do krajów nadbałtyckich i na odwrót. Odra nabierze właściwego potencjalnego znaczenia dla komunikacji we wszystkich kierunkach dopiero z chwilą wybudowania kanału, łączącego ją z Dunajem. Kanał ten łączy Bałtyk z Czarnym Morzem, łączy kraje skandynawskie z krajami, leżącymi w niżynie nadnaddunajskiej. Polska, leżąca na drodze przebiegu, odniesie ogromne korzyści, które nie wymagają uzasadnienia. Do budowy kanału Odra — Dunaj, dla którego istnieją już gotowe plany, powinny przystąpić możliwie najrychlej Polska i Czechosłowacja, jako państwa najbardziej zainteresowane, wciągając w jego budowę ew. kapitały i pomoc państw nadbałtyckich (Szwecja). Zawarcie porozumienia w tym względzie stanowiłoby wspaniały dowód współpracy państw, pokój miłujących i dążących do podniesienia dobrobytu swoich obszarów i swoich obywateli. Kanał Odra — Dunaj zbliżyłby Słowian południowych z północnymi i zachodnimi i w tym też leży polityczny sens jego budowy obok korzyści materialnych.”

Jeśli już mowa o sprawach gospodarczych, pragniemy omówić króciutko nieduży ale interesujący artykuł wstępujący „Dziennika Zachodniego” (z dn. 25. VII. 46, nr 202), zatytułowany „Węgiel — ludzie — inwestycje”. Autor, omawiając znakomitą koniunkturę dla polskiego węgla w świecie i zastanawiając się nad planami zwiększenia wydobycia tego „polskiego środka płatniczego”, dochodzi do smutnych wniosków. Powiada mianowicie, że z okręgu górnośląskiego wydobywali Niemcy (bez zagłębia karwieskiego) w roku 1943 — 80 mil. ton rocznie, a my przewidujemy na rok bieżący maksimum 46 mil. ton. Tymczasem perspektywy dla nas są tego rodzaju, że istnieje obawa... braku ładu w kopalniach. Zjawisko występuje głównie na tle braku mieszkań robotniczych. Z chwilą odejścia po konferencji pokojowej Niemców z kopalni (mieszkańcych w barakach) i z chwilą, gdy będziemy chcieli osiągnąć wysokość niemieckiego wydobycia w czasie wojny — potrzeba nam będzie około 50 tysięcy dwuh izbnych mieszkań. Trzeba je wybudować. Według obliczeń fachowców ta ogromna inwestycja, zapłaciłaby się już w ciągu 3 lat.

Wśród tysięcy trosk i zmartwień, związanych z odbudową wynaleziliśmy przy lekturze czasopisma „Szkoła zawodowa” (jest to organ odpowiedzialnej sekcji przy Z. N. P.) zagadnienie szczególnie ważne, zagadnienie niskiej liczby kształcącej się zawodowo młodzieży.

W pracy St. Kwiatkowskiego („Drogi realizacji szkoły zawodowej w Polsce”), pomieszczonej w tym czasopiśmie, czytamy m. in.:

„W tej sytuacji szczególnie niepokojącym jest fakt małej liczby młodzieży w szkołach kształcącej zawodowych. Cyfra bowiem tej młodzieży nie dosięgła nawet połowy liczby z okresu przed wojną. Najbardziej niepokojące jest zagadnienie w obecnej chwili, stojące przed nami — to problem rozbudowy szkół kształcącej zawodowych. Rozwiązaniem sytuacji sprzed wojny na odcinku szkolnictwa zawodowego i potrzeb życia gospodarczego. Do szkół ogólnokształcących średnich uczęszczało w ostatnich latach przed wojną około 220 tys. młodzieży z rocznym odpływem około 22 tys. absolwentów. Do szkół zawodowych typu zasadniczego uczęszczało około 100 tys. młodzieży o rocznym odpływie około 20 tys. absolwentów.

Ze szkół kształcącej zawodowych liczących około 125 tys. młodzieży odpływało niewiele więcej absolwentów. Według ogólnych danych zapotrzebowanie na absolwentów szkół zawodowych wszystkich typów i stopni wynosiło około 100 tys. rocznie — czyli istniejące szkoły zawodowe pokrywały tylko część zapotrzebowania. Obecnie przyjmuje się (są to dane bardzo ogólne i szacunkowo ujęte) że zapotrzebowanie, wymagające wykwalifikowanych pracowników w różnych dziedzinach pracy, wynosi cyfrą więcej niż podwójną jak przed wojną.”

W obliczu tego, istotnie niepokojącego zjawiska, słuszny jest projekt, o czym dowiadujemy się również ze „Szkoły zawodowej” dekretu o ustanowieniu dla młodzieży od 15 do 18 roku życia powszechnego obowiązku kształcenia zawodowego. Zby.

## Kronika kulturalna Pomorza Zachodniego

### „JESTEŚMY TU OD TYSIĘCY LAT”

Dyrektor Muzeum Szczecińskiego, obywat. Krzekotowski, rozpoczął zbieranie materiału do projektowanej wystawy, która pod hasłem „Jesteśmy tu od tysięcy lat”, ma być otwarta w Muzeum. Na czele Komitetu staną członkowie Rządu, a do współpracy zaproszeni zostali najwybitniejsi specjaliści. Wystawa ta ma być wstępem do utworzenia Instytutu, którego zadaniem będzie zbieranie materiału pomoroznawczego pod względem historycznym, kulturalnym i gospodarczym. Dla przeprowadzenia zamierzonej pracy konieczne jest dostosowanie wnętrza Muzeum dla celów wystawy. Projekt tej wystawy, który uzyskał już aprobatę czynników oficjalnych, przewiduje urządzenie centralnej składnicy dla przedmiotów zabytkowych, zwożonych z prowincji. Zaprowadzono już inwentarz tych rzeczy, obejmujący 130 pozycji. Porządkuje się

## O wystawie prac uczniów Szkoły Sztuk Plastycznych w Katowicach

W Bielsku zakończyła się ogólnopolska wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i tkactwa. Zainteresowanie, jakim darzyła ją publiczność było dowodem, że sprawy te nie są obojętne dla Śląska. Wystawcami byli tam jednak artyści przybyli z całego kraju, a osiedleni na terenach Śląska od niedawna.

Ostatnio mieliśmy sposobność oglądania w Katowicach innej wystawy, bardziej

ściśle związanej z miejscowym środowiskiem. Był to pokaz prac uczniów Katowickiej Szkoły Sztuk Plastycznych.

Niespodziewane osiągnięcia, jakimi może się poszczycić ta uczelnia pracująca zaledwie od kilku miesięcy, zasługuje na uwagę i omówienie.

Szkoła ta, przy poparciu Zaw. Związku Pol. Artystów Plastyków uruchomiona została i jest prowadzona pod kierownictwem St. Marcinowa (rzeźba), A. Raka — (rysunek), R. Pomorskiego (malarstwo), J. Mroszczaka (grafika użytkowa), I. Obrembiny (tkactwo), Z. Rzepeckiego (historia sztuki), Rafińskiego (komponowanie brył i płaszczyn).

Wyniki kilkumiesięcznej pracy świadczą nie tylko o właściwym podejściu poszczególnych pedagogów, ale i o żywym zainteresowaniu uczni. Cały szereg wystawionych rysunków dowodzi także, że A. Rak umie prowadzić ucznia po właściwej drodze. Nie zauważamy nigdzie suchego akademizmu, rysunki są dobrze komponowane i trzymają się w płaszczyźnie kartki. Uczniowie umieją już patrzeć po malarstwu t. zn. patrzeć na świat jak na obraz, a nie jak na przedmiot. Podobne zalety posiadają prace malarstwa uczniów R. Pomorskiego. Widać w nich wszędzie uświadomienie położenia plamy barwnej w myśl praw sztuki malowanej, a nie jako naśladownictwo bezładnego chaosu kolorów, przesuwających się przed naszymi oczami.

Przejdźmy do rzeźby prowadzonej przez St. Marcinowa. We wszystkich pracach statyka i wzajemny stosunek brył jasno określony, forma pełna a załamania płaszczyzn uzasadnione odpowiednimi kontrastami. Interesująco przedstawia się dział grafiki użytkowej prowadzony przez J. Mroszczaka, a o poziomie wzorów tkackich niech świadczy ilość ich zakupów przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Względy zasadnicze nie pozwalają mi wymienić nazwisk tych uczniów, którzy się wyróżniają, tym bardziej, że wystawa jest rezultatem niespełna roku wspólnej pracy na tej uczelni. Dlatego też należy się zadowolić charakterystyką poszczególnych działów i wyciągnięciem ogólnych wniosków. Otóż szybkość osiągnięcia podobnych rezultatów jest dowodem żywotności i chłonności kulturalnej środowiska; jest dowodem, że środowisko to gwałtownie sztuki plastycznej potrzebuje. Brak tej sztuki na Śląsku był spowodowany niemiecką „kulturą” i zasypywaniem kraju propagandową tandetą. Głód kultury jest zdrowym odruchem wyzwoleniczym i może być czynnikiem najwyższych osiągnięć. Katowice, które posiadają świetnie zorganizowaną sieć dojazdową, muszą stworzyć podwoje dla tych, którzy powinni się skupiać i gromadzić dla wspólnego wysiłku w pracy. Czyż Szkoła Sztuk Plastycznych nie powinna uzyskać dla siebie w Katowicach odpowiedniego budynku i sali wystawowej? W Katowicach pytanie to pozostaje bez echa.

Szkoła Sztuk Plastycznych w myśl rozplanowania przez Min. Kultury i Sztuki, — szkół artystycznych, — przekształcona ma być obecnie na Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Katowicach. Z tych względów pierwszy rok studiów, oparty na przedmiotach zasadniczych, potraktowany był jako kurs wstępny Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. — W programie nauczania przewidziano specjalizację rzemiosł, które będą miały zastosowanie w przemyśle, znajdującym się przede wszystkim na terenach Śląska i Ziemi Odzyskanych.

W przyszłym roku szkolnym oprócz działów zasadniczych koniecznych dla osiągnięcia kultury artystycznej, program nauczania obejmuje specjalizację jak: ceramika (szkło, porcelana, kamionka), metaloplastyka, tkactwo, meblarstwo, architektura wnętrz i grafika użytkowa.

Z uwagi na liczne zakłady przemysłowe, w których współpraca plastyka jest dnich warunkach rozwojowych spełni nieodzowna, szkoła tego typu w odpowiedzialne zadanie.

Jacek Puget

i klasyfikuje przywieziony t. zw. skarbiec kołobrzelski. (ts)

### PRACA DLA PLASTYKÓW

Staraniem Woj. Urzędu Kultury i Sztuki otrzymali plastycy szczecińscy pracę przy odnawianiu gmachu województwa na Watach Chrobrego oraz otrzymają zlecenie upiększenia sali Teatru Polskiego. (ts)

### TEATR w KOSZALINIE i CHOJNICACH

Okręgowy Dom Żołnierza wystawił sztukę G. Zapolskiej „Ich czworo” oraz „Zaczarowane koło” Rydla. Naczelna Dyrekcja Widowisk Rozrywkowych wystąpiła z rewią pt. „Chór cygański”. W bardzo urozmaiconym programie dano oprócz występu solistów, cygańską i rosyjską muzykę ludową, pieśni polskie, tabor cygański itp. Zespół Oświaty dla Dorosłych wystawił sztukę Stefanowskiego p. t. „Woj-skowa kuracja”. (ts)

## Książka Ziemi Odzyskanych

Emilia Sukertowa - Biedrawina, Polskość Mazurów i Warmiaków. Olsztyn, 1946, nakładem „Instytutu Mazurskiego”. Str. 11.

Jest to niepozorna broszurka. Napisała popularnie i przeznaczona nie dla ludzi o szerokich horyzontach myślowych, ale przede wszystkim chyba dla repatriantów zza Buga i z Wilenszczyzny. Jest pomysłem jako materiał uświadamiający, że ludność autochtoniczna, to nie „szwabry”, nie Niemcy, na których można przy braku etyki odbić swe krzywdy lub co najmniej znieść ich jako niewygodnych sąsiadów po wsiach i osadach na Pojezierzu Mazurskim i Warmii. Broszurka wyjaśnia, że ludność mazurska i warmińska, to ci sami Polacy, co i ci z terenów Wilenszczyzny. Jest to ten sam element prężny ludu mazurskiego, który począwszy od XIII w. skupił demograficznych Mazowsza środkowego rozpoczął ekspansję etniczną i gospodarczą na słabo zamieszkałe obszary Prus, Podlasia, Wilenszczyzny i Lubelskiego, kolonizując wytrwale te tereny i wdzierając się z podziwu godną energią w niedostępne obszary puszczy, leżących poza rubieżą etnograficzną prasłowiańską na przestrzeni dziejów. Naturalnie skomplikowane procesy przeddziejowe, jakimi są: rozdzielenie się wspólnoty bałtośląskiej, geneza ludności pruskiej, podział etniczny szczepów pruskich i litewskich i ich związki terytorialne z ziemiami polskimi, nie mają oświetlenia w tej popularnie napisanej pracy. Autorka, omawia ogólnie stosunki panujące na tym terytorium przed sformowaniem Krzyżaków przez Konrada Mazowieckiego. Następnie przechodzi do okresu gospodarki i kolonizacji krzyżackiej na tych terenach oraz wyjaśnia niewłaściwość terminów Prusy w stosunku do Niemców, którzy przejęli te tereny pod egidą elektora brandenburskiego i z nimi formy nomenklatury. Następnie omawia tradycje polskie na tych terenach od czasów Reformacji i Kopernika aż po czasy najnowsze. Wszystko to podane jest w sposób lekki i możliwie dostępny.

Fakty, podane przez autorkę, są znane przeciętnemu inteligentnemu czytelnikowi, więc nie w treści należy szukać wartości tej broszurki. Wartość jej tkwi w tym, że jest to pierwsza większa pozycja bibliograficzna, wydana na tych terenach własnymi środkami technicznymi. Dziś w Olsztynie nie ma pozostało po drukarni Seweryna Pieniężnego, redaktora „Gazety Olsztyńskiej”, która wychodziła do września 1939 r. Istniejąca i zmontowana siłami polskimi drukarnia państwowa, w której drukuje się „Wiadomości Mazurskie”, organ Wojew. Urzędu Informacji i Propagandy, nie posiada jeszcze polskich czcionek w pełnym zakresie. Natomiast już powstała na miejscu spółdzielnia wydawnicza „Zagon”, która już uruchomiła swą drukarnię z czcionkami i wymogami polskiego słowa pisanego. Jest rzeczą znamienną, że drukarnia ta powstała głównie rękami inteligencji autochtonicznej i działaczy ludowych z tego terenu. W niej też będą drukować się inne druki Instytutu Mazurskiego, jak np. Karola Malika „Wesele Mazurskie”, „Płon” i „Jutrznia a Gody”, prace o znaczeniu pod pewnym względem dokumentarnym, gdyż oparte o gruntowną znajomość zwozyciów i obyczajów ludu mazurskiego. Nakładem tegoż Instytutu ukaza się niebawem cykl odczytów, wygłoszonych w czasie kursów mazuroznawczych, urządzonych w Olsztynie, mających na celu zaznajomienie ludności napływowej z przeszłością i zagadnieniami polskiej ludności autochtonicznej.

Notujemy te dane na marginesie niniejszej recenzji z obowiązku. Bowiem w dalszym ciągu czytelnik polski ma możliwość obserwować za pomocą prasy i innych środków informacji i dowiadywać się o każdym naszym osiągnięciu na ziemiach nad Odrą i Nysą. O ziemiach natomiast, leżących nad Łyną i Pasiągą, ujętych w piękną oprawę jezior mazurskich, ciągle wiemy najmniej. Od czasu do czasu docierają do nas wiadomości, w których okrąg mazurski przedstawiany jest w ciemnych barwach lub docierają wiadomości, mające zobrazować istniejące tam, jako by horendalne stosunki z punktu widzenia narodowego, gospodarczego czy społecznego. Rozumiemy intencję niejednokrotnie szerzą autorów. W dzisiejszym województwie olsztyńskim, jak zresztą na całych Ziemiach Odzyskanych, działają siły różne. Obowiązkiem naszym jest jednak dać obraz całości naszych poczyniń na Warmii i Mazurach, zarówno od złej jak i dobrej

strony, bez sensacji nieraz o posmaku skandalu. Tylko rzetelna prawda o Ziemiach Odzyskanych jest postawą godną dla publicysty, działacza i naukowca. Tylko taką postawą uda się nam budować nowe wartości twórcze na tych ziemiach, gdzie mamy wickowe zalety do odrobienia.

J. Antoniewicz.

- Przyjaciół „Odry” prosimy o rozpowszechnianie naszego pisma wśród swoich znajomych.
- „Odra” — w każdym pensjonacie i domu zdrojowym.
- „Odra” — w każdej świetlicy i domu kultury.

## ZNAK MIESIĘCZNIK

KS. KONSTANTY MICHAŁSKI: DOKĄD IDZIEMY • LEON HALBAN: PROBLEM KULTURY NIEMIECKIEJ • STEFANIA SKWARCZYŃSKA: CZŁOWIEK ZAGUBIONY W ŚWIECIE • JERZY TUROWICZ: W STRONĘ USPOLECZNIENIA • JEAN DANIELOU: ŻYCIE UMYSŁOWE WE FRANCJI • HANNA MALEWSKA: S. KIERKEGAARD — J. P. SARTRE — A. CAMUS • ZDARZENIA — KSIĄŻKI — LUDZIE.

KRAKÓW — ŁÓDŹ — LUBLIN

ROK I. • LIPIEC • 1946

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, Piłsudskiego 6, ofic. lewa, III p. — Cena numeru 50 zł.

Redaguje komitet. Red. naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 86a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielnia Wydawn. „Czytelnik” Katowice, 3. Maja 12. Wydawca. Sp. Wydawn. „Czytelnik” R 23059